Cena 10 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MP
Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze



Nr 2/3
(155/156)
Radom
marzec–
–czerwiec
2016



Na okładce:
plac przed Urzędem Miejskim w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
27.04.2016 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 2/3 (155/156)
Radom, marzec–czerwiec 2016
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

**Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem (prom.mbpradom@op.pl)
nr konta: Bank PEKAO S.A.
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590**

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego"
dziękuje **Panu Czesławowi Krukowi**
za współfinansowanie wydawnictwa w 2016 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

40 lat temu znałam pewną dziewczynę, ot taką zwyczajną, przeciętną nastolatkę z przeciętnej polskiej rodziny. U niej w domu nie mówiło się o polityce. Wiadomo jednak było, że rodzice, ciotki, wujowie nie legitymują się dokumentem w czerwonej okładce z nadrukiem PZPR. Nikt też otwarcie i aktywnie nie uczestniczył w ruchu opozycyjnym, ale po cichu wspierali, głównie podczas rodzinnych przyjęć, kiedy woda rozmowna wzmagała odwagę i pewność siebie. Jawnie kpili z bratniego narodu, uważając jednako, aby żarty i narzekania jak najmniej docierały do uszu młodego pokolenia.

Do legendy rodzinnej przeszła historia jednego z dalszych kuzynów, który, wyłamawszy się ze zmowy cichego i biernego oporu, długo chował tajemnicę przynależności do „przewodniej siły narodu" pod dywanem na podłodze, aż w końcu jego porządnicka żona znalazła dokument podczas odkurzania, w geście oporu wobec systemu zniszczyła go, a mężowi swemu zarzuciwszy konformizm, zdradę rodzinnych ideałów i Bóg wie co jeszcze, zagroziła rozwodem.

40 lat temu owa dziewczyna, wiedziona ciekawością i naiwnością, że jeśli tylko popatrzy, nic złego jej nie spotka, wędrowała ulicami niespokojnego miasta. Wdrapała się na ostatnie piętro wieżowca naprzeciwko komitetu wojewódzkiego i patrzyła. Patrzyła ze zdziwieniem, niepokojem. Zaczęła kojarzyć szeptane na rodzinnych obiadach aluzje i dowcipy. Nic jej się nie stało. Tak wysoko nie sięgały nawet obiektywy aparatów esbeków, niewyposażone jeszcze w zoomy.

Kiedy niepokój narastał, bocznymi ulicami umknęła do domu. Nie było z kim porozmawiać. Ojciec chorował od kilku dni i nie wychodził z domu, pierwsze informacje otrzymał od niej, poprosił, żeby już nigdzie nie wychodziła. Matka wyjechała na urlop, miała wrócić następnego dnia. Czy wróci? Czy nie zablokują miasta? Włączyli telewizor, pamiętne wystąpienie Jaroszewicza nie uspokajało, wręcz przeciwnie.

Myślała o tamtym dniu wiele razy, częściej niżby chciała. Rozmawiała czasami. Raczej mówiła o rodzinie, o tym, że po Czerwcu stali się jakby odważniejsi na co dzień, chociaż czynnie dalej się nie angażowali. Mówili głośniej także w obecności dzieci. Nie licząc się z konsekwencjami, których zresztą nie doznali, nie poszli na wiec poparcia na stadionie Radomiaka, nie stali na ulicy podczas przejazdu przez miasto towarzysza Gierka.

Dziś nie ma już tamtej dziewczyny. Nie mogę jej zapytać, co myśli po 40 latach, czym dzisiaj jest dla niej 25 Czerwca? Czy tylko upalnym dniem kolejnego lata? Skądinąd wiem, że jej rodzina różnie odnalazła się w nowej rzeczywistości. Kuzyn od czerwonej legitymacji po utracie prominentnych znajomych najpierw został pijakiem, a potem wyjechał z Radomia.

Wiem natomiast, czym dla mnie jest Czerwiec '76. To symbol. Symbol nowego życia. Nie oceniam – lepszego czy gorszego – to indywidualna ocena każdego radomianina, każdego, kto pamięta lub komu pamięć o tamtych wydarzeniach została przekazana. Ale na pewno nowego.

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

---

w Galerii Prowincjonalnej
RADOMSKI CZERWIEC



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Czterdzieści lat po Czerwcu '76

Trzymają Państwo w ręku numer specjalny „Miesięcznika Prowincjonalnego", który poświęcony jest pamięci o wydarzeniach Radomskiego Czerwca '76.

Przygotowując go na 40. rocznicę tamtych wydarzeń, zadaliśmy sobie pytanie, czym jest dla nas Czerwiec '76 dzisiaj, po upływie 40 lat? Dla nas – współczesnych radomian – tych, którzy mogą pamiętać tamten okres i tych, którzy urodzili się później. Nie chcieliśmy po raz kolejny odpowiadać na pytanie, czym był protest 25 Czerwca w Radomiu ani jakie miał wówczas znaczenie. Chcieliśmy przyjrzeć się, w jaki sposób pamiętamy to dziś, w jaki sposób o tym opowiadamy. Uwagę naszej redakcji przyciągnęły obrazy czy reprezentacje Czerwca '76 w kulturze.

Niektórzy postmodernistyczni badacze uważają, że: „Żywe doświadczenie nie może być badane bezpośrednio. Możemy badać reprezentacje doświadczenia – opowieści, narracje, widowiska, teatr. Nie mamy bezpośredniego wglądu w psychikę i wewnętrzny świat znaczeń refleksyjnego podmiotu" . Postanowiliśmy przyjrzeć się reprezentacjom doświadczenia robotniczego protestu w Radomiu z czerwca 1976 r.

Szczególnie zainteresowani byliśmy „tubylczym punktem widzenia", sami tworzyliśmy i przyglądaliśmy się już stworzonym obrazom/reprezentacjom tych wydarzeń (głównie przez radomian), zastanawiając się, w jaki sposób, używając narracji o Radomskim Czerwcu, konstruujemy siebie, naszą historię, nasz obraz – i poszczególnych radomian, i wspólnoty mieszkańców miasta.

Redakcja



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Być albo nie być tam dziś

Stanisław Zbigniew Kamieński

Pisząc o dniu 25 czerwca 1976 r., zacznę od wątku osobistego, możliwe zresztą, że ów wątek zdominuje mój tekst. Nasuwa się myśl gotowa porównywać narracje osobiste z tymi bardziej ogólnymi, zobiektywizowanymi, utworzonymi na podstawie zebranych i skonfrontowanych ze sobą wypowiedzi mówionych i spisanych, wrażeń i wspomnień różnych osób. Narracja osobista wydaje się jednostronna, ale za to zaopatrzona w szczegóły i konkrety utrwalone w pamięci pojedynczego człowieka. Narracja wspólna, oparta na pamięci wielu osób i dokumentach, łączy różne punkty widzenia, ale z konieczności pozbywa się jednostkowych doświadczeń i spostrzeżeń, które czynią bardziej wiarygodnym, żywym przedstawiony obraz czy sytuację, choć może rozmieniają na drobne zwarty tok ogólnej narracji?

Na temat wydarzeń tamtego dnia, rozgrywających się pod Komitetem Wojewódzkim PZPR w Radomiu, powiedziano i napisano dużo (także po tamtej stronie barykady – mam na myśli nie tylko sprawozdania i raporty służb czy urzędowe pisma, ale też książkę *Wspomnienia partyjnego sekretarza* Janusza Prokopiaka). Powstały wielowątkowe opracowania naukowe i literatura: proza, poezja, sztuki teatralne, a także fotografie i materiały filmowe. Niestety, tamte wydarzenia nie były tak spektakularnie atrakcyjne i nie zakończyły się sukcesem społeczeństwa, jak cztery lata później w Gdańsku, nie znalazły zainteresowania u reżyserów tej rangi co Andrzej Wajda (choć z Radomiem związany), być może nie stanowiły materiału na scenariusz takiego filmu jak „Człowiek z żelaza" Aleksandra Ścibora-Rylskiego. A może nie pojawił się przywódca, stojący na czele robotniczego marszu i występujący w imieniu zgromadzonych przed siedzibą KW? Niezależnie od tego, czy radomski czerwiec był za mało widowiskowy dla potrzeb machiny filmowej, nie miał głównego bohatera tego formatu co Lech Wałęsa ani podnoszącego na duchu finału, stanowił znaczące wystąpienie społeczne skierowane do władzy, które doprowadziło do powstania Komitetu Obrony Robotników i w rezultacie przygotowania gruntu dla protestów na dużo większą skalę w sierpniu 1980. Myślę, że my sami, radomianie, nie doceniamy roli, jaką w powojennej historii Polski odegrały wydarzenia 25 czerwca, pomiędzy strajkami na Wybrzeżu w 1970 i 1980 r.

„Dawno" to pojęcie względne. 40 lat może wydawać się wielkością astronomiczną dla tego, kto ma za sobą 20 lat życia i miarą wyobrażalną dla kogoś starszego (choć wzdycham, zastanawiając się – kiedy ten czas upłynął?). 40 lat temu Radom był wreszcie od roku miastem wojewódzkim, ja zaś pracowałem, także od roku, jako asystent w warszawskiej ASP, zajmowałem się grafiką i rysunkiem (sądząc, że mam coś do powiedzenia za pośrednictwem tych dziedzin sztuki), za kilka miesięcy miał urodzić się nasz pierwszy syn. Miejska Biblioteka Publiczna, mająca wówczas siedzibę w budynku na rogu placu Konstytucji 3 Maja i ul. Żeromskiego, gdzie teraz mieści się jakiś bank, wystawiała w swoich dużych oknach prace radomskich plastyków, miejsce było nazywane galerią „Witryny". W czerwcu 1976 r. znajdowały się tam jak raz moje litografie wykonane na dyplom w ASP i nieco późniejsze – kompozycje figuralne, które można zaliczyć do nurtu metaforycznego, także nieco inne, bardziej ekspresyjne, swobodnie rysowane na podstawie starych zdjęć rodzinnych. Czułem się artystą. Żeby dorobić do asystenckiej pensji, wykonywałem drobne prace plastyczne (projekty plakatów, katalogów, reklam) zlecane przez Zakłady Artystyczne ART przy Związku Polskich Artystów Plastyków. Komisja zatwierdzająca projekty mieściła się w Łodzi przy Piotrkowskiej, trzeba było jeździć tam osobiście. W piątek 25 czerwca wybrałem się do Łodzi z jakimś zleceniem, może był to projekt reklamy pralni na Osiedlu XV-lecia (która przetrwała potem na szybach zakładu bardzo długo – 20–30 lat), nie pamiętam już. Pojechałem jak zwykle, tzw. okazją, polegało to na tym, że miejskim autobusem wyjeżdżałem na obrzeża miasta i zatrzymywałem samochody, stojąc na poboczu wylotowej drogi. Tak wówczas podróżowało wiele osób. Jeśli udało się złapać okazję od razu do Łodzi, miałem szczęście, jeśli nie, trzeba było przesiadać się gdzieś na trasie, przeważnie w Piotrkowie Trybunalskim. Wracałem także okazją, tamtego dnia samochód podwiózł mnie pod kościół ewangelicki na Reja, nadchodził wieczór, ale o tej porze roku było jeszcze widno, szedłem do domu piechotą.

Wynajmowaliśmy wówczas mieszkanie w bloku przy ul. Partyzantów, w pobliżu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który mieścił się w przedwojennym budynku dyrekcji Lasów Państwowych przy ul. 1 Maja. Ktoś może zapytać dziś, dlaczego komitet partii zajmował budynek innej instytucji? Wówczas jednak nikogo nie mogło to dziwić, po prostu partia, która stanowiła „przewodnią siłę narodu" wybrała w 1975 r. ów dom na swoją siedzibę, po-

nieważ był okazały i znajdował się w centrum miasta. Dużo wcześniej, ale kiedy dokładnie – nie wiem, usunięto orłowi z płaskorzeźby na frontowej ścianie koronę (korona, symbol władzy królewskiej przypominała tradycję, na którą nie należało się wówczas powoływać, obowiązywała tradycja robotniczo-chłopska), natomiast w 1975 r. zamurowano napis „Lasy Państwowe" umieszczony pod orłem.

Obok kościoła Jezuitów przeszedłem na drugą stronę ul. Malczewskiego i wówczas zobaczyłem leżący w poprzek ulicy przewrócony autobus, patrzyłem zaskoczony i przyszła mi do głowy myśl, że pewnie jest tu kręcony jakiś film. Nagle przebiegł koło mnie w przeciwną stronę, do Żeromskiego, młody mężczyzna, za chwilę dwóch zomowców w hełmach, z pałkami i, zdaje się, z tarczami; jeden z nich otarł się niemal o mnie. Nie pojmowałem jeszcze, o co tu chodzi i rozglądałem się zdziwiony, nieświadomy, że przed chwilą mogłem „zarobić pałką", gdybym przypadkiem zatarasował drogę ścigającym. Może nawet mógłbym być o coś oskarżony?

Dziś, w czasach telefonów komórkowych i internetu, może wydawać się niepojęte, że nie dotarła do mnie wiadomość o wydarzeniach w Radomiu, gdy przez pół dnia byłem w Łodzi, czy jechałem okazją z powrotem. Media milczały, czekając na oficjalne oświadczenie władzy, telefoniczne połączenia międzymiastowe z Radomiem zapewne nie działały. Szedłem dalej, nie wiedząc, co o tym myśleć, może zresztą bardziej byłem zaprzątnięty myślą nad nową grafiką, która jeszcze nie powstała? Na pustej ulicy Partyzantów poczułem, że szczypią mnie i łzawią oczy, dopiero w domu dowiedziałem się wszystkiego. (Gaz łzawiący jeszcze przez kilka następnych dni zalegał w pobliżu naszego bloku, gryzł w oczy, nie pozwalał otwierać okien.) Teresa czekała na mnie zdenerwowana, nie wiedziała z kolei, co dzieje się w Polsce i jak dotrę do Radomia i do domu. Telefony miejscowe jednak działały, bo na kilka godzin przed moim powrotem zadzwonił znajomy, wiedział, że nie mamy jeszcze telewizora i powiedział Teresie, że ktoś widział aparaty telewizyjne wystawione przed Sezamem (dom towarowy Sezam do dziś funkcjonuje w centrum miasta); był to żart komentujący rozbijanie witryn sklepowych i włamania do sklepów, jakie zdarzały się tego popołudnia. Teresa widziała z naszego balkonu na pierwszym piętrze, kilkunastoletnich chłopców rozbijających o ścianę domu słoiki i butelki wynoszone drzwiami od zaplecza sklepu spożywczego przy 1 Maja; mieszkańcy domów w najbliższym sąsiedztwie krzyczeli na nich z okien. Łatwo jest zapewne sprowokować do kradzieży i wandalizmu młodych ludzi źle nastawionych do otaczającej ich rzeczywistości. Władzom PZPR bardzo zależało, aby taki późniejszy przebieg nadać robotniczemu protestowi wobec podwyżek cen żywności i przedstawić go światu jako chuligańskie rozruchy, a mieszkańców Radomia nazwać warchołami. Marsz czy pochód robotników z największych zakładów przemysłowych miasta pod siedzibę KW przebiegał jednak spokojnie, towarzyszyły mu m.in. kobiety z małymi dziećmi w wózkach czy prowadzonymi za rękę, sam znam panią pracującą w Walterze, wówczas na urlopie macierzyńskim, która ze swoim trzymiesięcznym synem była pod komitetem, znam też pracownika naszego Wydziału Sztuki UTH, który w dziecinnym wózku odbył wtedy ze swoim ojcem podróż w tamtym kierunku. Na obraźliwe przezwisko – warchoły – radomianie odpowiadali wierszykiem: „Żeby nie Radom, to byście jedli chleb z marmoladą" (podwyżki miały dotyczyć głównie mięsa, o ile pamiętam).

Następnego dnia dowiedziałem się i zaraz potem zobaczyłem na własne oczy, że szyba w galerii „Witryny" została rozbita, może zresztą więcej szyb biblioteki, w każdym razie jedna z moich grafik ucierpiała oblana ciemnoczerwonym płynem, mówiliśmy potem, że badania wykazały, że była to 40-procentowa wiśniówka, wówczas, obok czystej Bałtyckiej, najbardziej popularna wódka. Ich popularność wynikała stąd, że nie miały na rynku konkurencji, nie było wyboru; władza wiedziała, jaką wódkę powinno pić społeczeństwo. Żałuję, że nie zachowałem na pamiątkę owej zniszczonej odbitki. Przyszło mi kiedyś później do głowy, że atak na jedną z moich litografii nie był może czynem bezmyślnym, przejawem wandalizmu, ale wyrazem dezaprobaty dla przesłania moich prac, obojętnych wobec wydarzeń dziejących się po zewnętrznej stronie szyby, nieodnoszących się do spraw społecznych i politycznych, które w tym momencie mogły skierować uwagę – chyba nie przesadzę, mówiąc – szerokiego świata – na Radom. W spokojnych czasach twórczość artystyczna pozostawia wielu ludzi obojętnymi na jej przekaz, w chwilach niespokojnych staje się może potrzebna, jeśli wspiera oczekiwania, poglądy demonstrujących, albo przeciwnie – odwraca ich uwagę od trudnych spraw bieżących, daje wytchnienie. Moja twórczość nie należy do żadnej z tych dwóch kategorii, nie jest ani zaangażowana (krytyczna), ani jawnie dekoracyjna (komercyjna); w połowie lat 70. była dla mnie samego niejasna, w każdym razie ujawniała niechęć do nadawania wszystkiemu jednoznacznego, obiegowego sensu. Dla kogoś, kto tamtego 25 czerwca spędził kilka godzin pod komitetem partii, mogła wydać się irytująca w swojej niejasności, gdy zomowcy terroryzowali miasto. Czy nie próbuję stworzyć mitu wokół zniszczenia mojej młodzieńczej litografii, zatrzymać na tym banalnym fakcie uwagi czytelników?

Dodam przy okazji, że hasło „sztuka zaangażowana" zawsze budziło moją nieufność, niezależnie od tego, czego owo zaangażowanie dotyczyło. Sztuka, która do mnie przemawia, wzbudza zaufanie i zainteresowanie, jest wypowiedzią jednego człowieka (autora dzieła) do kogoś drugiego, bliskiego mu, czy tylko anonimowego odbiorcy. To, że wiele dzieł sztuki zwraca ogólną uwagę, powszechne zainteresowanie czy nawet entuzjazm, wynika stąd, że czujemy, iż artysta przemawia do każdego z nas z osobna, nie zaś do wielu osób naraz, do zgromadzenia (co prawda snobizm może odgrywać tu też niebagatelną rolę). Sztuka skierowana w swoim zamierzeniu do mniejszego czy większego ogółu, do tłumu, nosi znamię, żeby nie powiedzieć – piętno, publicystyki, przejawia cechy propagandy czy demagogii, można ją porównać do publicznego wystąpienia. Przekazuje treści narzucone przez zleceniodawcę czy oczekiwane przez odbior-

ców, nie wewnętrzną, osobistą prawdę autora, choć może zdarzyć się, że obie tendencje pozostają ze sobą w zgodzie. Oczywiście, zdecydowanie wolimy zaangażowanie sztuki po stronie słabszych, nie silniejszych, ciemiężonych, a nie ciemiężców, sztuki domagającej się wolności i swobód obywatelskich, niż wspierającej władzę narzuconą siłą, dyktaturę, ale bywa, i to wcale nierzadko, że sztuka zaangażowana po „właściwej" stronie w „słusznej" sprawie jest sama w sobie marna. Gdy opadną życiowe, zewnętrzne emocje, okazuje się, że tak naprawdę ma niewiele do powiedzenia, jej przesłanie jest powierzchowne, że szuka uznania i poklasku tanim kosztem.

Są jednak wyjątki od takiej mało optymistycznej reguły, przeważnie dopowiada się wówczas, że wyjątki regułę potwierdzają. Przykładem może być twórczość Edwarda Dwurnika skierowana do tzw. szerokiego odbiorcy, a mimo to wcale nie płytka, przejmująca w swojej wymowie, budząca silne emocje. Dwurnik jest autorem obrazu „Radom '76", namalowanego dwa lata po wydarzeniach 25 czerwca. Nie jestem wielkim entuzjastą tego obrazu, uważam go za kuglarski, ale twórczość Dwurnika jest w większości autoironiczna, niejednoznaczna, prześmiewcza, w tym tkwi jej siła. W 1983 r., tuż po stanie wojennym, artysta otrzymał Nagrodę Kulturalną „Solidarności" za swoje obrazy i rysunki zaangażowane po stronie robotników. Niedługo potem pojawiły się głosy, aby odebrać mu tę nagrodę za uczestniczenie w oficjalnym życiu artystycznym aranżowanym przez władzę, pomimo jego bojkotu przez wiele środowisk twórczych. Nasuwa się pytanie, czy artyście wolno więcej niż przeciętnemu człowiekowi, czy wielki talent może lekceważyć ogólnie przyjęte zasady, normy etyczne, swobodnie przekraczać tabu, ale to już temat na oddzielny tekst. Myślę, że sztuka może i potrafi skutecznie przeciwstawiać się określonej sytuacji politycznej, niekoniecznie wprost, ma takie możliwości, dysponuje takimi środkami.

Życie sytuuje każdego z nas w jakimś (przypadkowym?) miejscu realnej rzeczywistości, kształtując naszą świadomość, nasze postrzeganie świata. Rzeczywiście, nikt z moich bliskich nie był zatrudniony w którymś z tutejszych dużych zakładów przemysłowych, ja sam pracowałem w odległej (wówczas chyba bardziej niż dziś) Warszawie i osobiście nie znałem nikogo, kto uczestniczył w proteście pod budynkiem partii. Co prawda kilka lat wcześniej, kiedy po maturze nie dostałem się na studia (choć dziś, w czasach niżu demograficznego dotykającego boleśnie wyższe uczelnie może wydawać się to niezrozumiałe), pracowałem krótko w Walterze na stanowisku frezera, ale nie zawarłem tam wtedy żadnej znajomości. Odnoszę wrażenie, że było to środowisko dość hermetyczne, nieakceptujące tych, którzy pracę tam traktowali jako zajęcie tymczasowe i nie wiązali z nim przyszłości.

Pięć dni później, 30 czerwca, odbyła się na stadionie Radomiaka (przy końcu ulicy Struga) propagandowa manifestacja poparcia społecznego dla polityki partii i rządu, piętnująca robotniczy protest radomian, przedstawiony jako nieodpowiedzialne, chuligańskie wybryki. Podobne wiece poparcia dla PZPR i Gierka, oczekiwane czy może nawet nakazane przez Ko-



Plac przed Urzędem Miejskim

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

mitet Centralny, odbywały się w tym czasie na terenie całego kraju, ten jednak miał szczególny charakter. Mieczysław Szewczuk, wówczas młody pracownik Muzeum Okręgowego, uczestniczył w tym wydarzeniu, opowiadał mi potem swoje wrażenia ze szczegółami, choć po tylu latach wiele z nich zatarło się w pamięci. Wiadomo, że radomianie sprowadzeni z różnych instytucji, nie tylko z dużych zakładów przemysłowych (według jakiego klucza wybierano owe zakłady pracy, czy tylko decydowała o tym gorliwość dyrektorów – zapewne nie) stali przez kilka godzin na płycie stadionu, dzień był gorący, słoneczny, na trybunach zaś siedzieli zwiezieni z różnych miejsc województwa i województw sąsiednich tzw. ludzie pracy (zaopatrzeni na drogę w prowiant), ze szturmówkami, transparentami i tablicami zawierającymi napisy świadczące o ich zaangażowaniu po stronie partii: „Tow. Gierek naszym przywódcą!", „Tow. Gierek naszym wzorem!", „Popieramy politykę Partii pod przewodnictwem I sekretarza KC Edwarda Gierka!". I setki podobnych haseł. W imieniu lokalnych władz wystąpił prezydent miasta Tadeusz Karwicki. Potępił tych, którzy zawiedli zaufanie partii, warchołów i wichrzycieli, przepraszał uczciwych Polaków, obiecywał powrót radomian do wydajnej, wzmożonej pracy. Jego przemówienie zostało szczegółowo przygotowane w Komitecie Centralnym.

Pięć lat później został ogłoszony przez radomską „Solidarność" konkurs na projekt pomnika upamiętniającego robotniczy protest 1976 r.

Historia niezrealizowanego przez 35 lat pomnika radomskiego Czerwca `76 to oddzielna opowieść, pisałem już o tym w „MP" (nr 3/126, 2011 r.), nie chciałbym się powtarzać. Najogólniej można powiedzieć, że pomnik, podobnie jak Radom, nie ma szczęścia. Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało rozwiązanie komitetu jego budowy i uniemożliwiło realizację projektu. Z upływem czasu coraz bardziej stawało się niejasne, który projekt i w jakim miejscu ma być realizowany; jak wiadomo, w konkursie wygrał inny projekt niż ten, zwracający później uwagę prostym, przekonującym przesłaniem i rozwiązaniem formalnym, autorstwa Macieja Szańkowskiego, zatytułowany „Powiew". Od razu jednak dodam, że projekt Szańkowskiego przekonał do siebie niewielką grupę osób (wśród nich piszącego te słowa) i nie zyskał powszechnej akceptacji. Można nawet powiedzieć, że wywołał, obok uznania jednych, także niechęć tych, którzy uważali go za zbyt prosty i surowy w swoim kształcie, a jego symboliczną wymowę sprowadzoną do takiego skrótu myślowego, iż prawie niezrozumiałą, abstrakcyjną. Wydaje się, że ludzie oczekiwali większej dosłowności w jego rozwiązaniu plastycznym. „Powiew" był dla nich pozbawiony martyrologicznej, patriotycznej i religijnej symboliki. Kiedy w 1991 r. Radom odwiedził papież Jan Paweł II (w czasie swojej czwartej pielgrzymki do Polski) i modlił się w miejscu położenia kamienia węgielnego pod przyszły monument, na skwerze obok zaczęło przybywać tablic i znaków upamiętniających to wydarzenie i stało się coraz bardziej oczywiste, że brakuje już tam miejsca na sam pomnik. Maciej Szańkowski, po którejś wizycie w Radomiu i poszukiwaniach nowej lokalizacji, uznał, że jego projekt może być zrealizowany tylko na placu Jagiellońskim, w miejscu dawnego pomnika wdzięczności Armii Czerwonej, co wywołało zdecydowany sprzeciw zwolenników usytuowania tam monumentu poświęconego świętemu królewiczowi Kazimierzowi, patronowi Radomia. Żaden z prezydentów miasta nie podjął do tej pory wiążącej decyzji w sprawie pomnika wydarzeń radomskich. Kiedy rozmawiałem ostatnio z prezesem Stowarzyszenia „Radomski Czerwiec `76" Stanisławem Kowalskim, powiedział mi, że po uroczystościach 40-lecia zamierza powołać nowy komitet budowy pomnika, można więc liczyć, że na 50. rocznicę tamtego dnia, może nawet wcześniej, Radom doczeka się upamiętnienia najdonośniejszego społeczno-politycznego wydarzenia w swojej powojennej historii.


fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Stanisław Kowalski – prezes Stowarzyszenia „Radomski Czerwiec `76"

Z okazji obecnej rocznicy Stowarzyszenie przygotowuje tablicę z mottem: DĄŻENIE DO WOLNOŚCI JEST WIELKĄ SIŁĄ CZŁOWIEKA (autorstwa Antoniego Kępińskiego) i napisem: W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ WYDARZEŃ RADOMSKICH 1976 ROKU / TYM WSZYSTKIM, DLA KTÓRYCH WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ / SĄ WARTOŚCIAMI NIEZBYWALNYMI / ORAZ NA PAMIĄTKĘ DLA TYCH, CO NASTANĄ PO NAS / STOWARZYSZENIE „RADOMSKI CZERWIEC '76". Tablica zostanie umieszczona na ścianie budynku Lasów Państwowych, jej odsłonięcie nastąpi 24 czerwca o godz. 18. Jednocześnie alejka obok, łącząca ulicę 25 Czerwca i Młynarską, otrzyma imię senatora Zbigniewa Romaszewskiego. Autorami koncepcji tablicy i jej tekstu są prezes i sekretarz Stowarzyszenia, Stanisław Kowalski i Michał Musialik, plastyczne opracowanie i wykonanie powierzono rzeźbiarzowi Dominikowi Wdowskiemu. O jego twórczości związanej z Radomiem pisałem już parokrotnie. Żałuję, że w tym numerze „MP" nie mogę pokazać jeszcze fotografii tablicy, ale nie uprzedzajmy faktów.

Stanisław Zbigniew Kamieński
3.03–26.04.2016 r.



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Czerwiec '76 – wywrotowe powtórzenie

Agata Morgan

Zakłady Metalowe w Radomiu dziś

Zbliża się 40. rocznica „radomskich wydarzeń Czerwiec '76", a ja jestem dzieckiem „warchołów" z Radomia i redaktorką radomskiego pisma, więc historia mnie wzywa (oczywiście pamiętam, że to nie tylko Radom, że wymienić należy jeszcze Ursus i Płock i wspomnieć, że także „w innych ośrodkach doszło do protestów", choć ich skala była mniejsza). Chcę jednak myśleć i pisać z radomskiej perspektywy – to w redakcji radomskiego „Miesięcznika Prowincjonalnego" przygotowujemy rocznicowy, podwójny numer pisma. Czekam w bibliotece na zamówione teksty i czytam w internecie oraz w papierowych publikacjach kolejne opisy tamtego protestu. Jak się wydaje, w wolnej Polsce udało się już zbudować oficjalną narrację o Czerwcu '76, w każdym przeczytanym teście powtarzają się słowa klucze: protest robotniczy, ścieżki zdrowia, wiec potępiający warchołów, powstanie opozycji demokratycznej – KOR, krok ku wolności i powstaniu „Solidarności", najważniejsze wydarzenie w najnowszej historii miasta. Tamta historia sprzed 40 lat zastygła w pewnej określonej, pomnikowej formie. Sprawdźcie sami, klikając.

Jednak wciąż powraca pytanie, które z każdą rocznicą staje się coraz wyraźniejsze – co tamten protest sprzed 40 lat znaczy dla nas – współczesnych radomian? Co znaczy dla Polaków? Czy wielokrotne przypominanie Czerwca '76 podczas oficjalnych miejskich uroczystości, na akademiach, w szkołach, powoduje jakieś reakcje, porusza emocje, czy jest tylko pustym rytuałem?

Pięć lat temu, w 2011 r., zwrócił na to uwagę badacz radomskiego czerwca Paweł Sasanka, pisząc: „Rocznica Czerwca '76 jest dobrym pretekstem do poruszenia problemu „rocznicowości" (odczuwalnego zresztą nie tylko w przypadku Czerwca) – zainteresowania danym wydarzeniem lub tematem „odżywającym" przed zbliżającą się okrągłą rocznicą i zamierającym na kolejne pięć lat zaraz po niej"[1]. Proponował jednocześnie, by znaleźć taką formę przypominania tych wydarzeń, która przy wykorzystaniu nowoczesnych środków wyrazu odwoła się do emocji i skojarzeń i będzie miała szansę dotrzeć do młodego pokolenia.

Zawsze chcemy naszą historią zainteresować młodsze pokolenie, które żyje innymi sprawami i jest zajęte tworzeniem własnej historii. Może jednak przed jej opowiedzeniem innym, młodszym osobom, warto podjąć wysiłek opowiedzenia jej samym sobie. Zastanawiam się, czym, po 40 latach, jest dla mnie samej Czerwiec '76? W jaki sposób żyje w mojej pamięci? Czy ukształtował moją tożsamość i jaka jest ta tożsamość? Jak to jest być dzieckiem „warchołów z Radomia", co to dla mnie znaczy?

Piszę ten tekst, by się tego dowiedzieć. Może się to wydawać nieco dziwne, w końcu uczono nas, że najpierw należy się zastanowić, a potem pisać, gdy już będziemy wiedzieli, co chcemy napisać. Jednak często jest inaczej, dopiero pisząc, dowiadujemy się, jakie są nasze spostrzeżenia i opinie w danej sprawie. Po raz pierwszy usłyszałam o takim sposobie pisania, jako o uświadomionej formie tworzenia tekstu, który nie jest fikcją literacką, od autora „Miesięcznika Prowincjonalnego" – Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego. Nieco później natrafiłam na tekst „Pisanie jako metoda badawcza", gdzie jedna z jego autorek – Elizabeth Adams St. Pierre – pisze o ewokacyjnej metodzie pisania, która prowadzi do odkryć: „Wcześniej byłam uczona, że pisanie należy traktować jako reprezentację, jako powtórzenie czegoś, co jest już przemyślane. Nadal stosuję te zalecenia dla określonych celów i określonych odbiorców. W większości przypadków używam jednak pisania, aby zakłócić to, co znane i realne – traktuję pisanie jako *symulację* (Baudrillard 2005), wywrotowe powtórzenie (Butler 2008)"[2]. Interesująca jest definicja pisania ewokacyjnego, jako zakłócenia tego, co znane i traktowanie pisania jako wywrotowego powtórzenia znanych treści, które pozwala na wyrwanie się z kolein obowiązujących interpretacji, utartych znaczeń i odkrycie, na własną rękę, czegoś nowego. Dla zainteresowanych dodam, że w dalszej części cytowanego tekstu zamieszczono praktyczne ćwiczenia, jak to robić.

Pisanie nigdy nie jest czynnością niewinną, nawet jeśli pozostaniemy przy klasycznej, pozytywistycznej formie tworzenia tekstu. Pisząc, dokonujemy interpretacji, wybieramy wątki, wydarzenia i nadajemy im sens w zgodzie z naszymi wewnętrznymi przekonaniami, ale także oczekiwaniami społecznymi – grupy, redakcji, czytelników, a nawet zgodnie z konwencją epoki. Dzieje się tak zawsze, także wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy decydujemy się na obiektywną formę narracji, która wymaga wycofania subiektywnych ocen, własnego ja i udawania, że wiemy wszystko lub prawie wszystko. Jednak coś się zmienia, na naszych oczach umiera wszechwiedzą-

[1] P. Sasanka, „Czerwiec '76. Refleksje wokół rocznicy", „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" nr 4 (125), kwiecień 2011, s. 12.

[2] L. Richardson, St. Pierre; „Pisanie jako metoda badawcza", [w:] N.K. Denzin, Y.S. Lincoln (red.), *Metody badań jakościowych. Metody badań jakościowych*, Warszawa 2010: Wydawnictwo Naukowe PWN., t. 2, s. 468.

cy narrator, głos jego słabnie, gdyż traci wiarygodność. Pewnie przyczyniła się też do tego wszechobecność internetu, możliwość łatwego, natychmiastowego sprawdzenia każdego hasła, nazwiska czy daty. Zmieniają się powody, dla których sięgamy po teksty, nie poszukujemy już tylko informacji, te są aż nazbyt dostępne, oddzielone od nas zaledwie jednym kliknięciem – poszukujemy tekstów, które budzą w nas emocje, przywołują wspomnienia, wywołują skojarzenia, ożywiają naszą wyobraźnię i pamięć. W takim nurcie postmodernistycznego pisania mieści się metoda, która ostatnio mnie zainteresowała – autoetnografia, rozumiana jako praktyka badawcza czy metoda prowadzenia badań jakościowych i przedstawiania ich w formie narracji. Autoetnografia, według definicji Carlolyn Ellis i Artura Bochnera, to pisanie o osobistych doświadczeniach i ich związkach z kulturą. Jest to autobiograficzna forma tworzenia tekstu i prowadzenia badań, która odsłania wielowarstwowość naszej świadomości[3]. Postanowiłam skorzystać z metody autoetnograficznej do opisania mojego doświadczenia Czerwca '76, przywołać wspomnienia, zarówno te osobiste, jak i te wyuczone na uroczystościach ku czci, akademiach, prelekcjach i konferencjach, i skonfrontować je z ogólną wiedzą o Polsce, o Radomiu. Interpretacyjna narracja w autoetnografii ma pewne charakterystyczne cechy: jej autor (autorka) pisze zazwyczaj w pierwszej osobie liczby pojedynczej – narracja z pozycji subiektywnego ja zastępuje uniwersalnego, wszechwiedzącego narratora, z jakim zwykle mamy do czynienia w tekstach naukowych. Autor czyni samego siebie przedmiotem badań, zakładając, że jego wiedza jest niepełna, jest jedną z wielu prawd, które wspólnie tworzą pełną opowieść. Tekst skupia się na uogólnieniach dokonywanych w ramach analizy pojedynczego przypadku, który rozciąga się w czasie. Często ma na celu dopuszczenie do głosu i opowiedzenie historii grup społecznych, których głos jest zwykle pomijany w badaniach społecznych. Chciałabym opowiedzieć moją historię Czerwca '76 z perspektywy dziecka, którym wtedy byłam.

W czerwcu 1976 r. miałam sześć lat i każdego ranka przez trzy tygodnie wyjeżdżałam na półkolonie spod Domu Kultury „Walter", gdzie przyjeżdżały po nas autobusy, do podradomskiego Rajca wraz z innymi dziećmi, za małymi na wyjazd na prawdziwe kolonie. Były to półkolonie zorganizowane na ówczesną, socjalistyczną modłę przez zakład pracy naszych rodziców, wszyscy byliśmy dziećmi pracowników Zakładów Metalowych im. gen. Waltera. Piszę – pracowników, a nie robotników, jak chce oficjalna narracja o proteście, gdyż moja mama, dzięki której wyjechałam na owe historyczne półkolonie i która także uczestniczyła w proteście (o czym opowiem później), pracowała wówczas w ZM „Walter" w dziale inwestycji i określana była w ówczesnej nomenklaturze jako „pracownik umysłowy". Mieszkaliśmy w bloku tuż obok „Waltera", na radomskich Plantach, a tata lub mama każdej z moich koleżanek z podwórka czy z przedszkola pracował (pracowała) w Zakładach Metalowych. Czasem pracowali tam oboje rodzice, a czasem jeszcze dziadek. Wszyscy oni w 1976 r. byli częścią załogi „Waltera", jak określano wówczas liczącą 10 870 osób grupę pracowników tej fabryki[4]. Jak pamiętam i jak podaje Jerzy Sekulski w *Encyklopedii Radomia*, radomskie Zakłady Metalowe posiadały i prowadziły żłobek, przedszkola, szkołę i przychodnię lekarską[5]. Oprócz tego klub sportowy, ośrodki wczasowe w kilku miejscowościach (pamiętam wczasy w Sielpi i Przesiece) oraz miejsce na nasze półkolonie z budynkiem stołówki i namiotami (wojskowymi) w rajeckim lesie.

25 czerwca 1976 r. po południu nasz autokar, pełen dzieci wracających do domu, został zatrzymany na przedmieściach Radomia przez patrol Milicji Obywatelskiej. Pamiętam, jak stoimy na poboczu, za innymi zatrzymanymi pojazdami, widzę zaparkowany w poprzek ulicy stalowy radiowóz z białymi literami MO i kilku zaaferowanych milicjantów w białych czapkach – drogówka. Jest gorąco, bardzo chcę być już w domu z mamą i malutkim brątem, który przypomina mi lalkę. Chcę kołysać go w głębokim wózku, pamiętam, że miał daszek z dermy. Zaledwie chwilę później zbierałam już pieniądze od dzieci na przekupienie milicjantów stojących nam na drodze, aby przepuścili jak najszybciej nasz autobus, trzymam w spoconych dłoniach garść monet: aluminiowe złotówki z wieńcem laurowym, dwuzłotówki z kłosami zboża i owocami oraz jedną dużą pięciozłotówkę z rybakiem, a pulchna blondyna z pomalowanymi na niebiesko powiekami – nasza wychowawczyni – krzyczy na mnie, żebym oddała te pieniądze. Czuję się okropnie, choć mia-


fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

---

[3] C. Ellis, *The Ethnographic I: A Methodological Novel about Autoethnography (Ethnographic Alternatives)*, 2014 AltaMira Press, Kindle Edition, s. 37.

[4] P. Sasanka, S. Stępień, *Czerwiec 1976: Radom, Ursus, Płock*, Warszawa 2006, Instytut Pamięci Narodowej, s. 18.

[5] J. Sekulski, *Encyklopedia Radomia*, hasło: Państwowa Fabryka Broni, Radom 2009, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Technologii Eksploatacji – PIB, s. 172.



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

łam dobre intencje. Płaczę i jeszcze bardziej chcę być w domu, wówczas blondyna wyjaśnia nam, że był protest przeciwko podwyżce cen, ulice są zablokowane, więc musimy pojechać okrężną drogą i czekamy na pozostałe autokary. Przyglądam się temu doświadczeniu z dzisiejszej perspektywy, wciąż czując na policzkach tamten palący wstyd. Zostałam zawstydzona przez opiekunkę naszej grupy, gdyż odkryłam i przyznałam się publicznie do odkrycia tajemnicy poliszynela socjalistycznego systemu – wszystko (lub prawie wszystko) można załatwić za łapówkę, zwłaszcza w kontaktach z milicją. Nie wiem, skąd w wieku sześciu lat miałam tak ugruntowaną wiedzę na ten temat (o skali korupcji w krajach socjalistycznych). Być może wyjaśnienie można znaleźć w słowach Carolyn Ellis: „Mam wrażenie, że jestem etnografem od zawsze, od czasu, gdy jako dziecko próbowałam zrozumieć związek łączący moich rodziców, moje własne związki z ludźmi i skrywane – lub nie całkiem skrywane – dramaty mieszkańców małego miasta, w którym mieszkałam. [...] Uważnie patrzyłam i słuchałam, często – a może szczególnie właśnie wtedy – gdy nie powinnam była tego robić. Zadawałam sobie pytanie, co się dzieje za tymi zamkniętymi drzwiami? O czym ci ludzie myślą i co robią? Jaką mają motywację? Szybko zainteresowałam się sprzecznością pomiędzy tym, co ludzie mówią a tym, co robią. Kluczem dla zrozumienia tych przeciwieństw wydaje się przyjęcie postawy etnografa, który zawsze próbuje dowiedzieć się, o co tu chodzi”[6].

Ja także zawsze chciałam wiedzieć, o co tu chodzi, i 25 czerwca 1976 r. dowiedziałam się w autobusie pełnym dzieci, że chodziło o pieniądze, o podwyżkę cen.

[6] C. Ellis, *The Ethnographic I: A Methodological Novel about Autoethnography (Ethnographic Alternatives)*, 2014, AltaMira Press, Kindle Edition, s. 27.

Nie poznałam wówczas szczegółów, nie sądzę, bym mogła je wtedy zrozumieć. Jednak, gdy dziś przyglądam się (z pozycji dorosłej kobiety, matki dwóch synów, którym codziennie przygotowuję posiłki) tamtej propozycji podwyżek, czuję wielką złość i przypływ współczucia dla mojej mamy i innych znanych mi osobiście i nieznanych mam z tamtego okresu. Komunistyczna władza chciała wprowadzić z dnia na dzień podwyżkę cen żywności. „Mięso i ryby drożały średnio o 69% (lepsze gatunki wędlin nawet o 110%). Inne artykuły: drób – 30%, masło – 60%, sery żółte – 58%, nabiał – 64%, ryż – 150%, cukier – 90%. Zapowiedziano wypłatę rekompensat pieniężnych: dla osób z pensją poniżej 1300 zł przewidziano wypłatę 240 zł miesięcznie, zaś dla zarabiających powyżej 6000 zł nawet 600 zł miesięcznie”[7].

W takiej sytuacji zwykłe plany – wakacje z rodziną, zakup biurka dla dziecka, które idzie do szkoły, czy półkotapczanu, bo wyrosło z dziecinnego łóżeczka, stają się nierealne. Komunistyczne władze wiedziały, że ta propozycja spotka się ze sprzeciwem społeczeństwa, nie mogło być inaczej w ustroju, który głosił hasła sprawiedliwości społecznej, a spychał zwykłych ludzi na granicę ubóstwa. Jak piszą historycy – w Czerwcu ’76 władza nauczona doświadczeniem Czerwca 1956 i Grudnia 1970 tym razem przygotowała się na protesty robotników. W ramach operacji „Lato-76” koordynowanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zabezpieczyła transport lotniczy, samochodowy do przerzutu wojska, zakwaterowanie i wyżywienie oraz wzmocniła siły MO, powołując na ćwiczenia „najbardziej wartościowych rezerwistów (członków PZPR, organizacji młodzieżowych, ORMO i przeszkolonych w ZOMO)[8]. Mój tata także został w tym czasie powołany na ćwiczenia wojskowe, choć nie był najbardziej wartościowym rezerwistą z punktu widzenia MO czy partii. Wręcz przeciwnie, był ostentacyjnie antykomunistyczny, na granicy brawury. Został powołany jako „warchoł”, dobrze to pamiętam, gdyż 3 kwietnia 1976 urodził się mój młodszy brat Marek, mieliśmy maleńkie dziecko w domu, a tata musiał pójść do wojska. Gdy przyszło dla ojca powołanie na ćwiczenia wojskowe, rodzice mieli pewność, że zostanie anulowane z uwagi na konieczność opieki nad niemowlakiem. Okazało się to jednak niemożliwe, jak powiedział nam ojciec po powrocie do domu z Wojskowej Komendy Uzupełnień – „nie mogło być mowy o odroczeniu służby”. W Czerwcu ’76 był na poligonie wojskowym, kilkaset kilometrów od Radomia, gdzie, jak opowiadał, jego głównym zajęciem i zajęciem innych rezerwistów było przycinanie trawy nożem – żeby wojsko się nie nudziło. Czuł się upokorzony i bezsilny. W sprawozdaniu z operacji „Lato-76”, opatrzonym klauzulą TAJNE, czytam wyjaśnienie tamtej decyzji: „Powołano na ćwiczenia w okresie od 19 VI – 20 VII br. do jednostek MON element z marginesu społecznego o postawach warcholskich i antyspołecznych, wytypowany przez 20 KW MO”[9]. Więc zno-

[7] J. Eisler, „Miejsce Czerwca ’76 wśród »polskich miesięcy«”, [w:] P. Sasanka, S. Stępień, *Czerwiec 1976: Radom, Ursus, Płock*, Warszawa 2006, Instytut Pamięci Narodowej, s. 10.

[8] P. Sasanka, S. Stępień, *Czerwiec 1976: Radom, Ursus, Płock*, Warszawa 2006, Instytut Pamięci Narodowej, s. 151.

[9] Ibidem, s. 151.



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

wu pojawia się warcholstwo – określenie, które później na lata przylgnęło do radomskich robotników. Kim więc był typowy warchoł z Radomia? Przyjrzyjmy się mojemu tacie – miał wówczas 32 lata, był robotnikiem w radomskich Zakładach Mięsnych, żonaty, dwoje dzieci, w tym jedno niemowlę, mieszkał w bloku, w przeciętnym mieszkaniu M-4, nie należał do partii, miał poglądy antykomunistyczne i był wierzący. W swoim środowisku był bardzo popularny – wiedziałam o tym, gdyż jeździliśmy razem na zakładowe wczasy, jego koledzy robotnicy przychodzili do nas do domu na imieniny i inne okazje, nie wylewali za kołnierz, dużo rozmawiali, żartowali i przeklinali. Oczywiście, miał swoje wady, był bardzo bezpośredni w wyrażaniu sądów, także na temat socjalizmu, wybuchowy, niecierpliwy, wkurzała go niesprawiedliwość, biurokracja i łapówkarstwo. Został więc wytypowany przez lokalnych milicjantów jako element z marginesu społecznego o postawie warcholskiej i antyspołecznej. No rzeczywiście.

Po Czerwcu '76 radomska milicja, ZOMO, ORMO, sądy i aparat partyjny wskazali jeszcze więcej chuliganów i warchołów, głównie na podstawie esbeckich zdjęć sprzed budynku radomskiego Komitetu PZPR. Pod tym budynkiem 25 czerwca 1976 była też moja mama, stała pod drzewem, opierając się o dziecinny wózek, w którym spało niemowlę – mój brat. Po odprowadzeniu mnie na miejsce zbiórki na półkolonie pod Domem Kultury „Walter", który mieścił tuż obok Zakładów Metalowych, dołączyła do swoich protestujących koleżanek idących w stronę komitetu, choć była wówczas na urlopie macierzyńskim. Jej także nie podobały się podwyżki. W sumie to dość zaskakujące, że nie została również zidentyfikowana w oparciu o zdjęcia, jako „chuligan" i „warchoł". Nie wiem, dlaczego?

Wieczorem wróciłam z półkolonii pod Dom Kultury „Walter" – znacznie później niż zwykle. Mama czekała na mnie, widziałam z okna autobusu, jak stała na ulicy Kościuszki opierając się o bordowy dziecinny wózek. Nic nie wspomniała o tym, że była pod płonącym komitetem. A może mówiła, a ja zapomniałam, tak jak się zapomina cudze historie, których sami nie przeżyliśmy?

Władza wycofała się z podwyżek – to wielkie zwycięstwo Czerwca '76. Po kilku tygodniach tata wrócił do domu. Mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu (mama mieszka w nim do dziś), tata wrócił do pracy, mama wróciła do pracy, brat poszedł do żłobka – przyzakładowego, prowadzonego przez Zakłady Metalowe, a ja do szkoły, w której, ku mojemu zaskoczeniu, były także dzieci niemające żadnych związków z Zakładami Metalowymi. W kolejnych latach, na wakacjach, przy ognisku i piwie często słyszałam dorosłych śmiejących się z krótkiego wierszyka:

„Gdyby nie Ursus i Radom
Do dziś jedlibyśmy chleb z marmoladą".

Czy oznacza to, że jestem dumna z bycia dzieckiem „radomskich warchołów"? Jasne, że nie, choć po chwili przestaje to być takie oczywiste. Piszę tak, wierząc w moc słowa, w „wywrotowe powtórzenie", które zakłóci we mnie i w was to, co znane, zmyje znak hańby, który próbowali nam przykleić komuniści, nada słowom inne znaczenie.

Agata Morgan

„Tam czas się zatrzymał". Literackie obrazy Czerwca '76

Anna Spólna

25 czerwca 1976 r. – strajki i protesty, uliczne zamieszki, śmiertelne ofiary, ciosy policyjnych pałek, fala aresztowań, pokazowe procesy, odsiadywanie wyroków, prześladowania, utrata pracy, bieda, poczucie krzywdy i poniżenia. Ale także poczucie dumy, odzyskanej (choćby na krótko) podmiotowości, laboratorium solidarności społecznej, którym był Komitet Obrony Robotników. Legenda miasta „warchołów", a gdzieś pod spodem upokarzająca pamięć o wiecu poparcia dla partii na stadionie Radomiaka oraz komplikujące obraz miejskiej rewolucji wspomnienia zwolenników ludowej władzy, beneficjentów systemu. To wszystko odnaleźć można w powieściach, opowiadaniach, reportażach, wierszach czy piosenkach nawiązujących do wydarzeń czerwcowych. Ich przegląd – daleki od kompletności – pomaga zrozumieć, czym dla Polaków, zwłaszcza radomian, było to wydarzenie. Co po nim pozostało w naszej świadomości, tej wspólnotowej i tej prywatnej, własnej.

1. Władza ma głos

Słynny reportaż **Hanny Krall „Widok z okna na I piętrze"**[1], choć powstał dla „Polityki", został zdjęty przez cenzurę, zanim pisarka odeszła z zespołu tygodnika w grudniu 1981 r. Jest zapisem rozmowy z I sekretarzem KW PZPR w Radomiu Januszem Prokopiakiem, który z okna komitetu prowadził negocjacje ze strajkującymi robotnikami.

Utwór ujęty został w formę wspomnieniowego monologu dygnitarza. Autorka wplotła w sprawozdawczy, rzeczowy opis kolejnych godzin 25 czerwca 1976 elementy mowy potocznej, oddającej nerwowy charakter tamtych przeżyć („Potem byli już wszędzie i kombinowałem, jak rozmawiać z nimi", s. 47), a także wtręty charakterystyczne dla partyjnej nowomowy („jednostki transportowe zaangażowały się w temacie bardzo jednoznacznie", s. 49). Tekst przypomina najlepsze fragmenty *Zdążyć przed Panem Bogiem* – zwłaszcza w tych partiach, w których ujawnia się rola rozmówczyni, na przykład sekretarz odpowiada na nieprzywołane wprost, trudne pytania dziennikarki o przemoc wobec tłumu protestujących („Nieprawda, nie bili, to wymyślił KOR", s. 50). Przede wszystkim jednak – na pytania o władzę, jej deprawujący wpływ na ludzi bardzo przeciętnych, lecz spragnionych uznania i kariery:

> „Co chcę powiedzieć: sporą odporność psychiczną trzeba mieć, żeby się nie pławić w tym wszystkim.
>
> Czy ja się pławiłem?
>
> No – czułem, że jest miło, że coś w człowieku rośnie, rośnie, człowiek myśli – może naprawdę taki udany jestem, skoro oni się tak wszyscy uśmiechają?" (s. 50).

Krall zależało na ukazaniu swojego bohatera jako szczerego, mówiącego wprost o swoich rozterkach człowieka – stąd jej niechęć do pełnometrażowej adaptacji reportażu autorstwa Krzysztofa Kieślowskiego z 1981 r.[2]. W *Krótkim dniu pracy* pierwszy sekretarz jest najzwyklejszym aparatczykiem, podczas gdy pisarka akcentowała, że był on „stworzony na porządnego człowieka, a stał się symbolem partyjnej głupoty"[3].

Reportaż z niezwykłą ostrością ujawnia przepaść pomiędzy działaczami partyjnymi, upojonymi realizowaną od dziesięcioleci strategią sterowania podporządkowanymi sobie masami, a robotnikami:

> „Źle rządzimy, myślałem dalej, a teraz chcemy skutki tych rządów przerzucić na ludzi, i to udając, że oni się zgadzają, udając, że wszystko robimy demokratycznie, po konsultacji, która ma trwać jeden dzień" (s. 49).

Rozłam pomiędzy tymi na górze a tymi na dole, symbolizowany przez postać przemawiającą z okna pierwszego piętra, w Radomiu przyjął postać realnej sytuacji. Rewolucyjny gest wdarcia się do pałacu władcy (bo historia lubi się powtarzać) i próby przejęcia kontroli okazał się – wbrew klęsce strajku i pacyfikacji miasta – wstrząsem dla partii i jednym z kamieni milowych w procesie demokratyzacji Polski.

Ostatnia scena reportażu jest niezwykle wymowna. Oto sekretarz zdejmuje urzędniczą marynarkę, wsiada do cywilnego fiata i ucieka z komitetu, „nie budząc zainteresowania w nikim" (s. 50). Będzie jeszcze uczestniczył w „przywracaniu porządku", jego towarzysze zadbają o przykładne ukaranie radomskich „warchołów", ale już dokonało się wszystko, co ważne. Jest przegrany, skompromitowany, choć jeszcze tego nie wie – ani on sam, ani partia, którą reprezentuje.

Najobszerniejszym utworem poświęconym wydarzeniom radomskiego Czerwca jest ***Powiedzcie swoim*** **Wojciecha Pestki**[4] z 2013 r. Autor w podtytule nazywa go „powieścią polityczną" i rzeczywiście, koncentruje uwagę czytelnika z jednej strony na pracy tajnych służb, ich strukturach i metodach działania, z drugiej – na politycznych i społecznych uwarunkowaniach wydarzeń z 1976 r. Książka, pomyślana jako opowieść o dziennikarskim śledztwie, jest kolażem fikcji i dokumentów (zarówno tych wiarygodnych, jak sfabrykowanych przez władze PRL). Pestka odwołuje się do akt IPN, przytacza notatki służbowe, cytuje obficie artykuły prasowe, książki historyczne i wspomnienia uczestników wydarzeń z obu stron barykady, fragmenty „kreatywnego" kalendarium wydarzeń czerwcowych przygotowanego przez służby, stenogramy rozmów w komendzie wojewódzkiej MO, fragmenty ścieżki dźwiękowej filmu „Miasto z wyrokiem" Wojciecha Maciejewskiego. Wplata te wypisy w wątłą fabułę, często bez komentarza: są wystarczająco wymowne.

Rozdział „Większość i tak nie przeczyta" ma charakter narracyjnego autoko-

---

[1] H. Krall, *Widok z okna na I piętrze,* [w:] tejże, *Trudności ze wstawaniem. Okna*, Wydawnictwa Alfa, Warszawa 1990.

[2] „Bajka o ludziach. Z Hanną Krall rozmawia Tadeusz Sobolewski", „Kino" 2001, nr 2; dostępne w internecie: [http://film.onet.pl/wiadomosci/bajka-o-ludziach/53y2h], data dostępu 8.05.2016.

[3] Tamże.

[4] W. Pestka, *Powiedzcie swoim (powieść polityczna)*, Wysoki Zamek, Kraków 2013.

mentarza. Narrator przyznaje: „Gdybym wiedział, gdzie zacząć i na czym skończyć, sprawa byłaby prosta... A tak czuję niesmak, jakbym nadgryzł zepsute, spleśniałe jabłko" (s. 87). Gdy daje próbkę innego, prywatnego tonu w opowieści o swoich najbliższych, Ferdynand Świder (który woli być nazywany przydomkiem Mistrzo) ocenia go znudzony: „Dużo słów, mało faktów, brak wyrazistości, żadnych przekleństw" (s. 91) i rozprawia się z wątpliwościami rozmówcy charakterystycznym dla siebie, wyeksponowanym w książce plugawym językiem: „Powiesz krótko: literacka prowokacja. Masz takie kurewskie prawo" (s. 86).

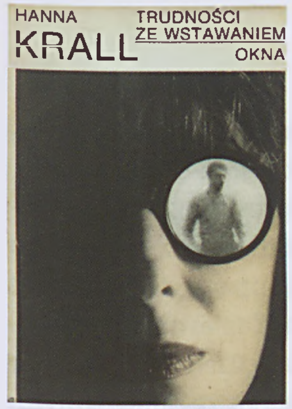
Ciężar historii spoczywa głównie na rwanym monologu funkcjonariusza SB, dożywającego swoich dni w szpitalu psychiatrycznym, na szczególnych prawach ni to pacjenta, ni gościa. Powieść pokazuje mechanizmy inwigilacji, działań „dezinformacyjnych" kompromitujących kręgi opozycyjne, cenzury, sposoby werbowania donosicieli, zwanych elegancko „tajnymi współpracownikami". Odsłania kulisy kierowanej obsady stanowisk, systemu nagród za lojalność wobec ludowej władzy, układów i układzików. Bohater mówi sporo o swojej codziennej pracy, operacyjnych konsekwencjach nowego podziału administracyjnego, metodach duszenia protestów w zarodku.

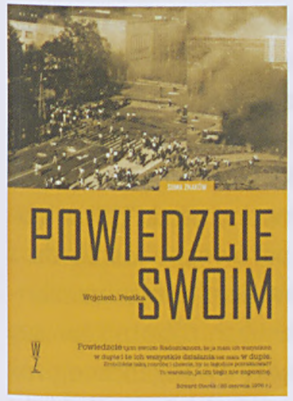
Z czasem jego pełną wulgaryzmów i prymitywnych powiedzonek opowieść coraz bardziej przesłaniają relacje z wydarzeń czerwcowych oraz późniejszych represji. Obfite przywoływanie źródeł, w tym mnóstwo danych liczbowych i socjologicznych obserwacji pozwala zbudować obraz robotniczego miasta z połowy lat 70.: zapóźnionego cywilizacyjnie, rzeczywiście prowincjonalnego, sfrustrowanego narastającymi trudnościami ze zdobyciem środków do życia i brakiem podstawowych towarów w sklepach. Pokazuje desperację ludzi, którzy nie znieśli biedy połączonej ze skrajną arogancją władzy, gdy – jak przyznaje esbek – „zabrakło umiaru" (s. 120) i „zlekceważono według oficjalnej nomenklatury tak zwane nastroje niezadowolenia" (s. 33).

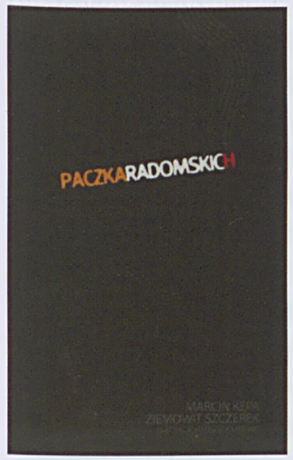
Materiały wypełniające książkę dają też świadectwo wprowadzonej po protestach atmosferze zastraszenia, mówią o paraliżu informacyjnym i wymuszonej fali poparcia dla władzy po 25 czerwca (skwitowanej przez esbeka krótkim: „Ponura groteska [...] partyjna burleska", s. 283).

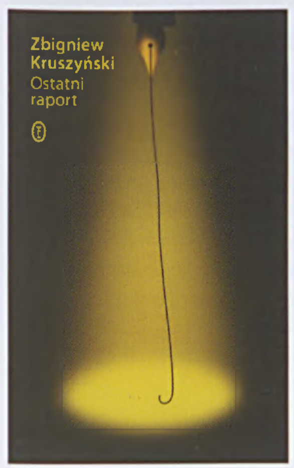
Szczegółowy opis wydarzeń 25 czerwca 1976 r., prowadzony z perspektywy funkcjonariusza obserwującego protestujących z wnętrza komitetu, przypomina relację utrwaloną w reportażu Hanny Krall. Przeplatają się z nim autentyczne wspomnienia protestujących i represjonowanych włączone do powieści – zabici, gaz łzawiący, zatrzymania przypadkowych osób, „ścieżki zdrowia", pokazowe procesy, straszne warunki przetrzymywania w więzieniu, utrata pracy, prześladowanie całych rodzin. Mistrzo kwituje swoje wspomnienia zaskakującymi w ustach tak szubrawej figury słowami: „Władza została upokorzona" (s. 261), a nawet: „Powiem otwartym tekstem: kurwa, jak ja byłem dumny z Radomia" (s. 262).

Powieść, niespójna kompozycyjnie, została pomyślana jako źródło wiedzy o Czerwcu, wciąż za mało obecnym w świadomości Polaków. „Radom nie obchodzi swoich, czemu ma ruszać obcych?" (s. 19) – zauważa trzeźwo bohater książki. Tytuł, zaczerpnięty ze słynnej, pełnej gróźb i wściekłości wypowiedzi Edwarda Gierka o radomskich „warchołach", zmienia sens w ostatnim akapicie książki: staje się apelem o rozpowszechnienie wśród „swoich" wiedzy o Radomiu, mieście upokorzonym, lecz niepokornym.









2. Chwała zwyciężonym

Pierwsza powszechnie znana wierszowana opowieść o pomocy represjonowanym po wypadkach radomskich została wyśpiewana przez **Jana Krzysztofa Kelusa**, opozycyjnego barda. Jego **„Ballada o szosie E7"** (utrwalona po raz pierwszy w 1981 r. na wydanej w niezależnym obiegu kasecie „Z nieskończoną wciąż piosenką")[5] jest poruszającym świadectwem osobistego zaangażowania[6], towarzyszącego mu strachu o siebie i żonę, zmęczenia, determinacji. Nie ma w niej poczucia wyjątkowości czy bohaterstwa, jest wypowiadziany wprost moralny imperatyw przyzwoitości: „Pojechaliśmy – ktoś musiał jechać", „Naprawdę trzeba było coś zrobić", z towarzyszącą mu nutą autoironii. Miasto w piosence sportretowane zostało jako miejsce naznaczone cierpieniem, z którego wraca się „jakby z daleka":

„Czerwony Radom pamiętam siny
Jak zbite pałką ludzkie plecy
Szosę E7 na dworcach gliny
Jakieś pieniądze jakieś adresy
[...]
Strach w ludzkich oczach upokorzenie
W spotniałych palcach świstki wyroków
Pamięć odbitą na ścieżkach zdrowia

[5] J.K. Kelus, „Ballada o szosie E7", zob. Archiwum Opozycji [http://archiwa.org/as/ah/ah_szukaj.php?swiadek=&slowo=ballada%20o%20szosie&keyword=0&projekt=0&id=2572&co=nagr&str=1#2572], data dostępu 8.05.2016. Za wskazanie ballady dziękuję Marcinowi Kępie.

[6] Kelus wspomina także Zofię i Zbigniewa Romaszewskich, którzy kierowali Biurem Interwencyjnym KSS „KOR". Jak zauważył Krzysztof Burnetko, „Mało kto staje się bohaterem ludowych pieśni. Romaszewski nim był". Zob. tegoż, *Zostanie po nim KOR*, „Polityka", 14 lutego 2014 [http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/1570761,1,krzysztof-burnetko-wspomina-zbigniewa-romaszewskiego-ballada-o-szosie-e7.read], data dostępu 8.05.2016.

Listy z więzienia lekarz adwokat".

W konwencji piosenki utrzymane jest także **„Miasto w welonie" Pawła Podlipniaka**[7], wiersz „rocznicowy", którego refrenem są słowa matki do syna, swoiste przesłanie skierowane do młodszego pokolenia:

„To duma synku, być tutaj warchołem
bo tu nieczyste sprawiedliwie płonie
co musi spłonąć, barwy jest czerwonej,
gdy kipi nasza krew
Naszym pomnikiem te z bruku kamienie
i ścieżki zdrowia, przepełnione cele,
i niepodległej władzy zapomnienie
gorycz wolności jest".
(s. 13)

Welon dymu spowija miasto protestujących „wtedy, gdy ktoś po chleb powszedni sięga,/ by go odebrać i nie można milczeć" (s. 12). Gniew tych, którzy poznali nienawiść władzy, powróci po czterech latach: „jak wrzątek znów wykipi łatwo" (s. 13). Robotniczy bunt radomian jest zapowiedzią fali solidarnościowych strajków w 1980 r., które rozleją się już po całym kraju.

Wiersze i piosenki, zwłaszcza te pisane dla upamiętnienia historycznych wydarzeń, są szczególnie podatne na odtwarzanie martyrologicznych schematów. Do tego rodzaju wzorów sięga Aneta Dziedzic w trzech tekstach: „Czerwiec 76", „Radom 1976" i „Radomski robotnik Czerwca 76", zamieszczonych w internecie na prywatnej stronie Konrada Gałki poświęconej upamiętnieniu protestów robotniczych[8]. Obieg internetowy jest dziś po części odpowiednikiem literatury popularnej, to on oddaje najbardziej rozpowszechniony sposób mówienia (i myślenia) o tamtych wydarzeniach. Jaki obraz Czerwca wyłania się z tych żarliwych, lecz nieporadnych utworów? Obraz miasta oskarżonego i skazanego za „obecność sumienia", walkę o podstawowe prawo człowieka „do sprzeciwu wobec/ niesprawiedliwości". Pojawiają się wartościujące epitety: miasto „zaszczute", „niezłomne", „czerwone macki", „haniebna krata". Procesy porównane zostały do... polowań na czarownice. Mimo wzmianki o pustych kieszeniach robotników autorka akcentuje cnoty ewangeliczne protestujących – wiarę, nadzieję i miłość do prawdy. Romantyczne klisze, powielane w poezji wojennej i twórczości stanu wojennego, wracają w patetycznych obrazach męczeństwa księdza Kotlarza, którego „wzięły archanioły", wołaniu krwi ofiar, apelu o pamięć.

3. Prywatne dramaty

W ***Cukiereczku*** **Grzegorza Bartosa**[9], powieści kryminalnej rozgrywającej się we współczesnym Radomiu, wątek wydarzeń czerwcowych, a właściwie ich konsekwencji, jest kluczowy dla zrozumienia postawy bohaterów. Policjant z wydziału śledczego mówi o sobie „pies z martwego miasta" – miejsca, w którym mimo tradycji KOR-u nie było ani karnawału Solidarności, ani euforii Okrągłego Stołu, a od 1989 r. upadło kilkadziesiąt zakładów pracy. Słyszy, ten sam od lat, refren: „Zarżnęli je w rytualnym uboju. To miasto. komuchy" (s. 27) i sam jest przekonany, że przyszło mu żyć w miejscu niewykorzystanych szans. Kiedy w biurze monitoringu przygląda się inscenizacji czerwcowych zamieszek, ma niepokojące poczucie, ze w każdej chwili może ona wymknąć się spod kontroli.

„Prowincjonalna na wskroś mieścina, grajdoł bez kultury, który nieustannie pokutuje za 76 rok" (s. 28) jest scenerią śledztwa w sprawie zaginięcia byłej mistrzyni kick boxingu Eweliny Frankowskiej, „dziecka czerwca":

„Mój ojciec zobaczył mnie pierwszy raz, kiedy miałam jedenaście miesięcy, niemal rok. Mama kiedyś powiedziała, że wcześniej, przed więzieniem, był zupełnie innym człowiekiem. Bardzo dzielnym, odważnym, opiekuńczym, który nigdy jej nie zawiódł. [...] Do czerwca...

[...] Trafił mu się najgorszy przeciwnik, sędzia Dobrowolska, jedna z tych, co zasądzali wyroki wyższe, niż sugerował prokurator. Nie mógł jej wybaczyć. Jakby zasądziła karę na całe jego późniejsze życie. Nie umiał się pozbierać, tylko siedział i wyrzekał na nią, na MO, na wszystkich, nawet na tych, z którymi na wózkach wyjechali z zakładów. Nawet gdy już skończyłam trzynaście lat i zaczęły się zmiany, które tak niewiele zmieniły, wciąż tylko siedział, pił, przeklinał" (s. 29).

Ewelina nazywa takie życie snem. Zastanawia się: „Czy można mieć przez tyle lat kaca po jednym strajku?", ale, patrząc na złamanego ojca, musi uznać, że potrafił inaczej, zwłaszcza po tym, „co się działo kilka dni później, na stadionie..." (s. 29). Sama znajduje motywację do treningów i samorozwoju, jakby wbrew domowej historii, wbrew dookolnej beznadziei. Jest silna, paradoksalnie, także dzięki słabości ojca. Uczy się nie poddawać, zawsze walczy do końca.

Prywatną perspektywę przyjmuje **Sebastian Równy** w opowiadaniu ***Czerwiec***[10]. Narracja poprowadzona jest tu z punktu widzenia siedemnastolatka z przedmieścia, który wraca z bezsensownym „łupem" – belą żółtego bistoru ukradzionego ze splądrowanego sklepu – pod prąd fali protestujących. Tymczasem:

„[...] miasto w oddali wyje. Bo miasto dziś szaleje, miasto wpada w amok. Miasto gotuje się właśnie w kopciu palonych opon, w dymie płonącego komitetu, we wściekłości się topi, przewraca samochody, rzuca kamienie, rozsypuje na ulicę dokumenty. Miasto trzaska szkłem rozbitych szyb i krztusić już się zaczyna ostrą wonią gazu, dławi się wodą z armatek, miasto jest w spazmach" (s. 21).

Mowa pozornie zależna dobrze oddaje frustrację chłopaka, który czuje, że sprzeniewierzył się czemuś ważnemu:

[7] P. Podlipniak, „Miasto w welonie (ballada radomska 76)", „Biuletyn NSZZ Solidarność Ziemia Radomska", nr 721, 14 czerwca 2011 r.

[8] A. Dziedzic, Wiersze o Radomskim Czerwcu 1976, zob. [http://radom1976.eu.interiowo.pl/], data dostępu 8.05.2016. Są one także recytowane do muzyki Roberta Grudnia w filmie zamieszczonym na You Tube [https://www.youtube.com/watch?v=vzAFXShldC0].

[9] G. Bartos, *Cukiereczek*, Oficyna wydawnicza RW2010, Poznań 2016. Książka ukazała się w postaci e-booka, wkrótce dostępna będzie także w wersji papierowej. Cytowany fragment powieści został opublikowany na łamach „Miesięcznika Prowincjonalnego" 2015, nr 1 (148).

[10] S. Równy, „Czerwiec", „Miesięcznik Prowincjonalny" 2010, nr 3 (120).

„Więc wrócić tam, iść z ludźmi? Ale jak, po co? Wrócić, kiedy tam już wszystko wybuchło, już eksplodowało? Już może dogasa? Jakież by było usprawiedliwienie jego powrotu właśnie teraz? [...] Teraz zaś stoi przed furtką własnego domu, a bela żółtego materiału udowadnia mu, że nie jest jeszcze dorosły. Że głupio zrobił" (s. 22).

Zmiana punktu widzenia odbywa się poprzez włączenie komentarza wszechwiedzącego narratora, który w bezlitosnym skrócie zapowiada dalsze losy bohatera: aresztowanie, bicie, proces, więzienie, pomoc działaczy KOR-u; po uwolnieniu związki z Kościołem (także przez pamięć księdza Kotlarza, błogosławiącego robotników), działalność opozycyjną, politykę wreszcie, która go w końcu „wypluje", schorowanego i oszukanego.

Tytułowy czerwiec okazał się dla przypadkowego świadka protestów i drobnego rabusia momentem inicjacji w dorosłość, która go zaskoczyła, odmieniła, i, ostatecznie, doprowadziła do klęski.

Michał Sobol w wierszu **„Czerwiec 76"**[11] pozornie dystansuje się wobec wydarzeń radomskich. Pozostał po nich w domu ukradziony przez kogoś z dorosłych, lecz starannie schowany na strychu „zegar z wystawy" – budzący w matce lęk dowód współudziału w zakazanym proteście. Bohater był tylko nieświadomym niczego kilkulatkiem:

„Dla dzieciaków, które patrzyły z boku, historia

Miała rys przygody. Spomiędzy kopek suszonego siana

Widziałem dym, pies mógł usłyszeć wycie syren"

(s. 33).

O tym, jak bardzo odległa musiała być rzeczywistość politycznych represji dla dziecka z wioski, mogłoby świadczyć także zdanie z **„Portretu polskiego"**[12]: „Dorastał między pogłoskami o pałowaniu robotników/ w Radomiu i realnością ziemniaczanych pól" (s. 24). Jednak narzuca się analogia pomiędzy ową wzmianką o atmosferze zagrożenia, zakłócającą bezpieczną, przaśną codzienność, a dalszym losem chłopaka, który na stałe poniżenie zaczął reagować agresją. Także w pierwszym ze wspomnianych wierszy Sobol w charakterystyczny dla jego liryki sposób komplikuje perspektywę poznawczą. Pozornie „wszystko rozeszło się/ pałkami po kościach", ale losy wujka, przedstawione w dramatycznym skrócie, każą zrewidować to przekonanie:

„[...] stracił

pracę oraz żonę i nie znalazł odtąd żadnej nowej,

aż umarł z picia, lecz to było wiele, wiele lat potem

i szczeniak nie wiedziałem, że tam czas się zatrzymał"

(s. 33).

4. Trudne dziedzictwo

Ambiwalentny stosunek do mieszkańców pacyfikowanego miasta ujawnia bohater ***Ostatniego raportu*** **Zbigniewa Kruszyńskiego**[13]. Zgadza się – jako działacz Studenckiego Komitetu Solidarności, a jednocześnie tajny współpracownik SB – zawieźć do R. pieniądze zebrane dla represjonowanych robotników. Jest radomianinem, ale losy rodzinnego miasta nieszczególnie go obchodzą. Wydaje się mechanicznie wykonywać swoje zadania, zarówno związane z akcją pomocową KOR, jak inwigilacją tego środowiska. Choć dwuznaczność jego postawy, a przede wszystkim wewnętrzne skłamanie i ciągła manipulacja faktami nie pozwalają zaufać pierwszoosobowej narracji, opowieść o odwiedzinach w mieście niedługo po wydarzeniach czerwcowych dobrze oddaje zarówno panującą w Radomiu atmosferę zagrożenia, jak wolę sprzeciwu jego mieszkańców.

Dwa wypchane portfele zawieszone na szyi miały być oddane w dwóch miejscach, do dalszego rozdysponowania: „Trafią, oczywiście, do najbardziej potrzebujących, bez pracy i zasiłku" (s. 39). Obie sceny towarzyszące przekazaniu pomocy są znamienne, bo w skrócie pokazują różne oblicza życia w terroryzowanym, ale niepokornym mieście. W mieszkaniu na osiedlu XV-Lecia młoda pośredniczka przyjmuje pieniądze i zdaje bohaterowi dokładną relację:

„Zaczęła wymieniać nazwiska aresztowanych, sankcje prokuratorskie, wyroki, pobicia właściwie w każdym przypadku, jakby należały do procedury, a potem niszczenia dokumentacji lekarskiej, jeśli w ogóle udało się sporządzić dokumentację" (s. 39–40).

Bohater zapisuje szczegóły starannie, lecz beznamiętnie, wyraźnie pozostając pod wrażeniem urody i wdzięku kobiety. Druga paczka miała dotrzeć na Zamłynie, do małego domku na przedmieściu, lecz miejsce okazało się zasadzką. Podczas gdy czekający w środku milicjanci bili bohatera, gospodyni przerażona płakała w kącie. Funkcjonariusze zawieźli go na komendę i zabrali na dołek, gdzie przesiedział przepisowe czterdzieści osiem godzin. Jako TW odzyskał pieniądze, po czym zawiózł je z powrotem pod pierwszy, niespalony adres.

Następnie zachował się rutynowo: „Po powrocie opisałem wszystko dokładne, w dwóch egzemplarzach, ta sama relacja dla »Biuletynu Informacyjnego« i dla wydziału" (s. 43) – wspomina bohater bez emocji. Zapiski pozwoliły mu później na małe prywatne śledztwo. Ustalił, że policjanci odeszli ze służby przed weryfikacją i nie ponieśli konsekwencji; dwaj pracują jako ochroniarze, jeden odsiaduje wyrok za późniejszy przemyt.

Kilkustronicowy epizod w powieści Kruszyńskiego pokazuje trzy oblicza Radomia po Czerwcu. Jedno – to miasto potrzebujące pomocy, upokarzane, znękane; drugie – miasto niepokorne, organizujące wzajemne wsparcie, dzielne. Jest jeszcze Radom poddany władzy aparatu partyjnego, zdeprawowanego i – właściwie – do dziś bezkarnego.

W opowiadaniu ***O PRL-u, panu Teosiu i nieszczęśliwej miłości Mikołaja Mikołajewicza Płaskina*** **Ziemowit Szczerek**[14] szuka charakterystycznych dla przeszło-

[11] M. Sobol, „Czerwiec 76", „Miesięcznik Prowincjonalny" 2014, nr 5 (146).

[12] M. Sobol, „Portret polski", utwór niepublikowany, udostępniony dzięki uprzejmości autora.

[13] Z. Kruszyński, *Ostatni raport*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

[14] Cyt. za: M. Kępa, Z. Szczerek, *Paczka Radomskich*, il. M. Kamieński, Marcin Kępa & PACZKA RADOMSKICH, Radom 2010.

ści Radomia miejsc, obrazów, skojarzeń. Zanim doszuka się namiastki metafizyki w przedwojennych opowieściach o nieszczęśliwej namiętności carskiego urzędnika do żydowskiego chłopca, znajduje tylko „toporność, prząśność" peerelowskiej beznadziei. W tej imaginacyjnej podróży w czasie pojawia się nagle dramatyczny ciąg scen jakby wyjętych z dokumentalnego filmu:

„Wyraźny był też czarno-biały tłum w kaskach i koszulach w kratę, doprowadzony tą beznadzieją do rozpaczy, który na skrzyżowaniu Kelles-Krauza i 1 Maja tłukł się z gówniarzami z ZOMO i rzucał zapalonymi butelkami w komitet partii. Widziałem wyraźnie milicyjne gaziki wjeżdżające między ludzi i gliniarzy w wojskowych hełmach tłukących długimi białymi pałami leżącego na dziurawym asfalcie człowieka, bo wpierdol wpisuje się idealnie w pejzaż tego miasta" (s. 169).

Miejskie rozruchy, rozgrywające się w absolutnej ciszy, jakby z tej kroniki wycięto ścieżkę dźwiękową: z jednej strony prawie bezbronni ludzie, pozbawieni wiary w odmianę losu, zapamiętani w swym desperackim buncie, z drugiej – naga agresja i przemoc nieszukająca usprawiedliwień, mocno zakorzeniona w systemie, który oparł na niej swoje trwanie. Jak sugeruje Szczerek, w sensie symbolicznym przemoc ta nadal buduje tożsamość Radomia.

***

Protesty czerwcowe odcisnęły swój ślad w polskiej literaturze, choć – biorąc pod uwagę znaczeniowy i emocjonalny potencjał wydarzeń z 1976 r. – zasługują na kolejne artystyczne opracowania[15]. Widziane z różnych perspektyw wydarzenia sprzed 40 lat, zatrzymane w pamięci bohaterów, wydają się wciąż żywe i urastają do rangi przełomowego doświadczenia – czy to ujmowanego w kategorii moralnego zwycięstwa, czy prywatnej lub zbiorowej traumy.

Najbardziej frapujące wydają się te utwory, które problematyzują prosty podział na katów i ofiary, pokazują konsekwencje robotniczego buntu z dwupokoleniowej już perspektywy, oddają głos pokrzywdzonym, ale nie próbują tłumaczyć najnowszej historii Radomia jako prostej konsekwencji poczerwcowych represji.

Anna Spólna

[15] Jest wśród nich, niewydany jak dotąd, tekst spektaklu „Uliczna ballada" autorstwa Teresy Ewy Opoki, wystawionego na deskach Teatru Powszechnego w Radomiu w reżyserii Andrzeja Sadowskiego (premiera: czerwiec 2011 r.).

Czerwiec plecień

Robert Utkowski

To kwiecień jest plecień, to kwiecień przeplata, mieszając zimne z ciepłym, śnieg ze słońcem, radość ze smutkiem. Kwiecień jest niejednoznaczny, mocno niepewny, stanowczo zbyt rozmaity jak na czasy, w których pomału trzeba zacząć się określać, wybrać sobie ideę i ją kultywować. Bronić jej, uwierzyć, choćby z przekory, na złość wyznawcom innej księgi, ale i na złość czcicielom całunu, bo coś nas wszystkich wreszcie znów musi połączyć, skoro mocno rozlazła i mocno zmęczona Europa nie daje sobie rady.

Czerwiec w tej sytuacji rysuje się jak opoka, mocny fundament, z pogodą zawsze jak drut, żarem lejącym się z nieba, nastrojem, który jeszcze-nie-zmęczony upałami, a już i nadal radośnie optymistyczny.

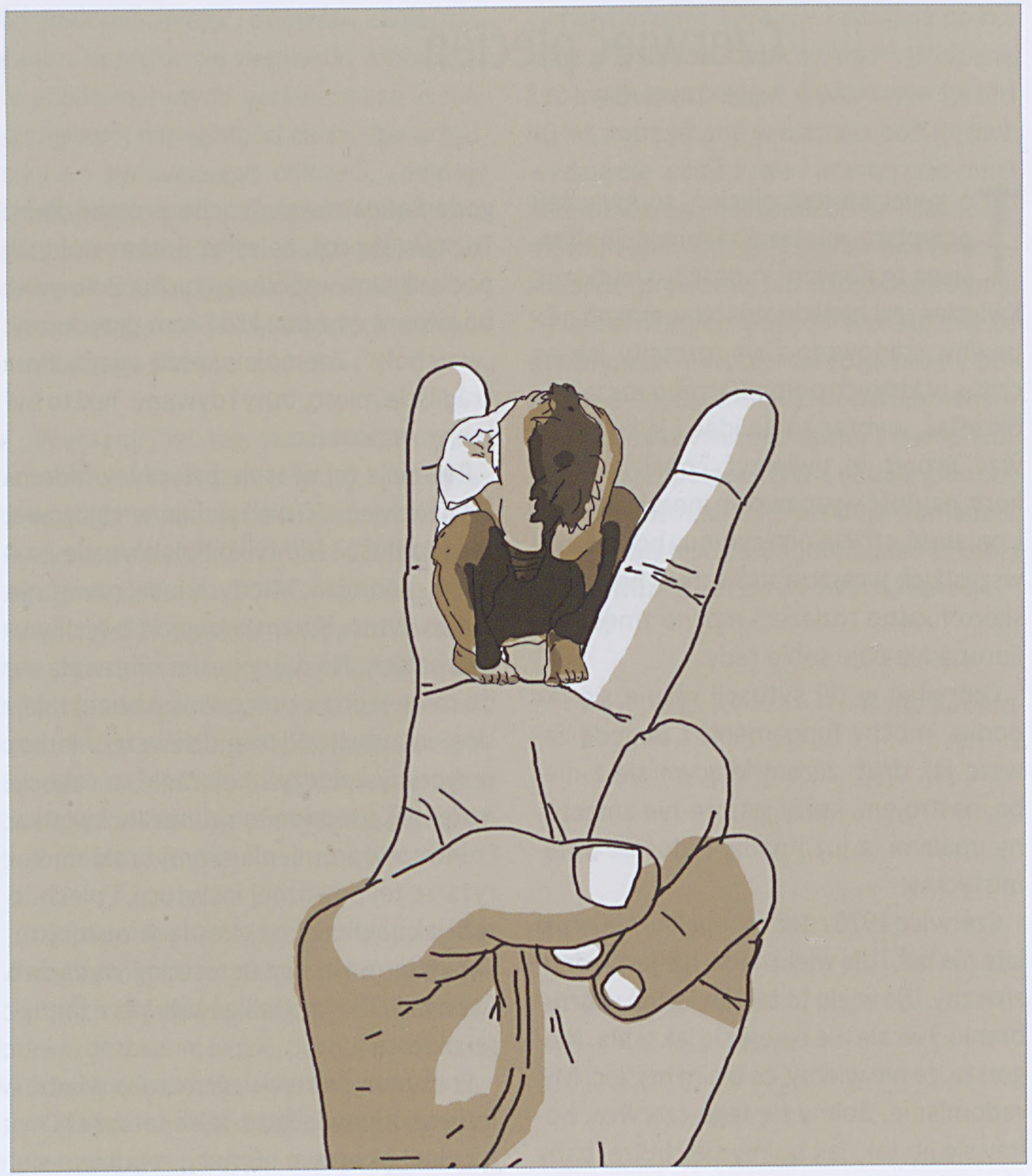
Czerwiec 1976 r. też był upalny. Ale przez lata nie był, i dla wielu nadal nie jest jednoznaczny. Dla wielu to taki kwiecień w przebraniu. I wcale nie rysuje się jak skała. Najgorsze, że nie wiemy, co o nim myśleć. My, radomianie. Boimy się tego czerwca, boimy się go tak, jak boimy się chytrej baby i lotniska. Wiemy, że nie jesteśmy chytrą babą, i marzymy, żeby lotnisko rozwinęło skrzydła, choćby to miały być tylko małe skrzydła turbośmigłowych maszyn. Ale boimy się. Bo jeśli nie wyjdzie, znów będą się z nas śmiać.

Więc boimy się opowieści o Czerwcu '76. Boimy się być dumni z tego, że to właśnie tu, w Radomiu, zaczęła się wielka przygoda Solidarności. Trochę przesadziłem. Tu stało się coś, co zaraz potem stało się podwalinami wspólnego ruchu. Boimy się, bo wiemy, że zaraz ktoś nam przypomni: „warchoły". Zdemolowaliście sklepy. Rozkradliście mięso, buty i dywany. Taki to był ten wasz protest.

Pewnie z tej właśnie przyczyny radomski Czerwiec '76 nie istnieje w zbiorowej świadomości. Nie tylko Polaków, ale i samych radomian. Młodych ludzi nawet nie ma co pytać. Nie mają pojęcia o tych wydarzeniach. Na marginesie: odezwała się do mnie jedna z pracownic pewnej miejskiej instytucji. Śliczne dziewczę, nie bez przyczyny koledzy i koleżanki w robocie nadali jej pseudonim od nazwy kwiatka. Dziewczę opromienia swym urokiem korytarze tej poważnej instytucji, i niech to robi jak najdłużej, na chwałę temu miastu. Zapytała mnie, czy uczestnicy wydarzeń Czerwca '76 mają jakieś tatuaże z tamtego okresu?

Przyznam szczerze, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Jakie tatuaże? Chyba nie... obozowe numery, modliłem się, żeby nie o to chodziło, nadal modlę, ale nie wiem. Bałem się zapytać, nie chciałem naruszać tego błogosławionego spokoju. Ale z drugiej strony, tak sobie zaraz pomyślałem, z drugiej strony skąd ona ma wiedzieć?

To pokazuje wiedzę naszą wspólną, zbiorową wiedzę na temat tamtego Czerwca. To wiedza zerowa. Wyrzuciliśmy go wła-



ściwie z pamięci. Znamy kilka osób, które wtedy coś tam robiły, i kilka, które coś tam wtedy widziały. Wiemy, że coś działo się pod komitetem wojewódzkim. I że ten komitet płonął. I że dwóch facetów przygniotła przyczepa. I że ci faceci byli pijani. Więc żadni bohaterowie. I że chyba taki właśnie jest ten cały Czerwiec.

W Czerwcu '76 roku miałem cztery lata. Moja siostra dwa. W lipcu rodzice zabrali nas na wczasy, nad morze. Na molo w Sopocie moja siostra podeszła do jakiegoś faceta; siedział na ławce i popijał coś schowanego w szarej papierowej torbie. – Daj pić – poprosiła. – Oj, córciu, jakbym ja ci dał, toby dopiero było – odpowiedział

mężczyzna, po czym zaczął przepraszać moich rodziców, że nie poczęstuje córki, bo to nieco inne picie, takie raczej lekarstwo na rozrzedzenie krwi. Zawiązała się nić porozumienia. I wtedy Pan z Piciem spytał: skąd państwo są?

Rodzice nie bardzo wiedzieli, co odpowiedzieć. To było po Czerwcu i po stadionie Radomiaka. To było po tym, jak cały naród z Gierkiem, a tylko kutasy z Radomia przeciwko. To było po tym, jak cały naród buduje, a warchoły burzą.

Krępowali się.

W końcu nieśmiało tata powiedział, że z Radomia.

– Panie, ja z Poznania, siadaj pan – ucieszył się Pan z Piciem i podzielił z ojcem tym piciem.

Pan z Piciem pokazał moim rodzicom, że powinni być dumni.

Takich relacji, relacji osób, które po czerwcowych wydarzeniach spotkały się z olbrzymią sympatią mieszkańców innych miast, jest sporo.

Ale ta atmosfera szybko się ulotniła.

Były wakacje. Ludzie jeździli po kraju, kąpali się w słońcu, a w Radomiu tymczasem powoli umierał jeszcze nawet nienarodzony czerwcowy mit.

Władza zrobiła dużo, władza zrobiła wszystko, żeby skutecznie ten mit rozwalić. Sprowadziła Czerwiec wyłącznie do chuligańskich wybryków. Bo były takie, jasne. Jak w każdym zbiorowym wystąpieniu zdarzają się ci, którzy idą tylko dla „rozrywki". Albo z chciwości. Pod komitetem przekupa, handlara z dołu Żeromy, na każdym palcu złoty pierścień, krzycząca: my chcemy chleba. Ktoś próbował podpalić kiosk Ruchu, w sklepach rozbite witryny, kradzieże. To prawda.

Ale skoro w komitecie wojewódzkim było 60 tajniaków przebranych za robotników Odlewni, to ilu tajniaków było na ulicach? (Jeden ze świadków: widziałem na ulicy gościa, tajniaka, wiedziałem, że to był tajniak, bo go znałem. Trzymał w ręku kij od szczotki. Nieco dziwne. Potem coś mnie tknęło. Zacząłem się rozglądać. Wokół mnie, w tłumie, na ulicy, kręciło się wielu facetów, którzy w ręku trzymali kije od szczotki. Myślę, że to był znak rozpoznawczy).

Dlaczego ci, którzy wybijali szyby, nie byli zatrzymywani przez milicję? A według relacji nierzadko wybijali te szyby pod nosem funkcjonariuszy. Są zresztą zapisy i stenogramy. Są relacje z procesów, na których na jednym posiedzeniu sądzeni byli jeden–dwóch rzeczywistych uczestników wydarzeń i do nich dołączeni trzej–czterej kryminaliści. Żeby taki właśnie przekaz szedł w Polskę. I szedł. Gorzej. Także my, radomianie, uwierzyliśmy w ten przekaz, choć wtedy na ulicach było nas (Was) prawie 20 tys., mniej więcej jedna siódma dorosłych mieszkańców miasta, a kolejne tysiące strajkowały w zakładach.

Czytałem relację z takiego pokazowego procesu w jednej z ówczesnych radomskich gazet. Ten podszyty hipokryzją ton Wyraziciela Opinii Narodu. Ten ciąg pomówień, inwektyw ukrytych pod pozorami obiektywizmu, kłamstw. Ten strach i ta poddańczość.

Nie czytajcie.

Bo tym razem naprawdę będzie wam wstyd.

Robert Utkowski

Droga do wolności prowadziła przez Radom

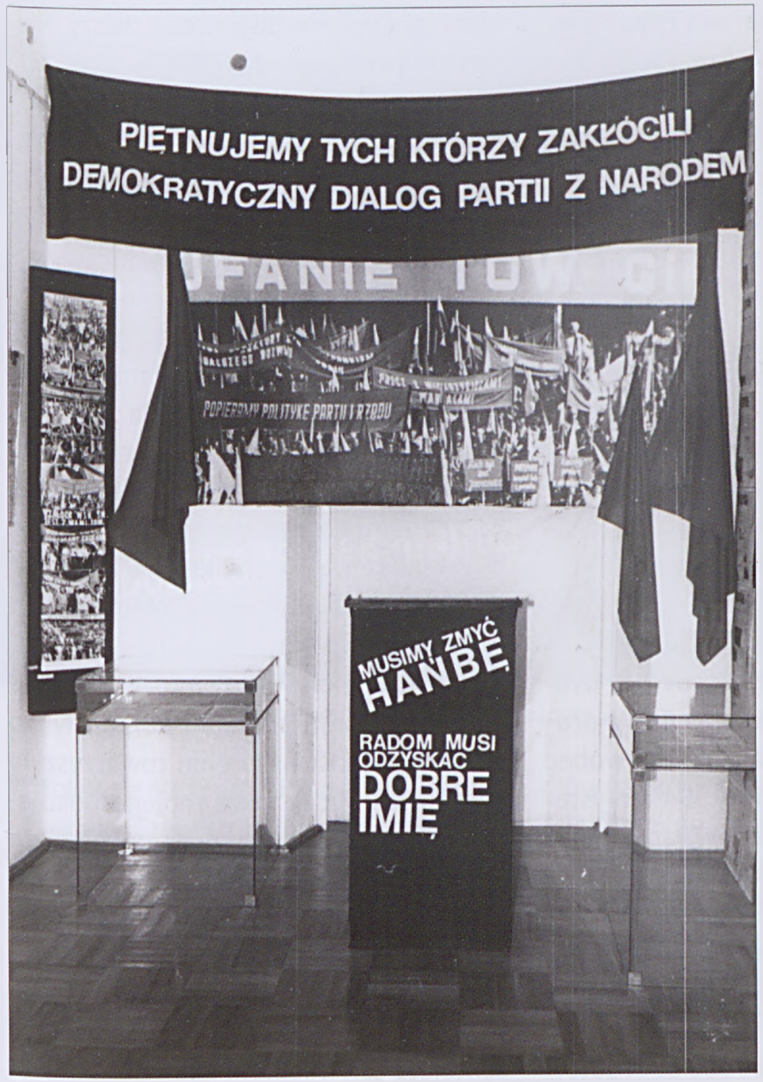
Mieczysław Szewczuk

O odrębności radomskiej kolekcji dzieł sztuki drugiej połowy XX w. decyduje przede wszystkim pokazywany na wystawach zespół dzieł ukazujących polską „drogę do wolności”. Taką kolekcję mogliśmy w Radomiu zgromadzić dzięki wielkiej akcji darów dla pierwszego w Polsce muzeum sztuki współczesnej. Są w niej dzieła odnoszące się wprost lub metaforycznie do wydarzeń Radomskiego Czerwca.

Dzieła mówiące o polskiej drodze do wolności pokazywaliśmy w Radomiu wielokrotnie, zwykle z okazji kolejnych rocznic Radomskiego Czerwca, jubileuszu wolnej Polski czy rocznicy powołania Muzeum Sztuki Współczesnej. Wystawy nosiły różne tytuły, np. „Sztuka w Polsce wobec spraw publicznych” w 2006 r. z okazji 30. rocznicy Radomskiego Czerwca czy „Polityka i etyka” w 2011 z okazji jubileuszu 20-lecia działalności Muzeum Sztuki Współczesnej, w 2014 r. z okazji obchodów 25-lecia wolnej Polski pt. „Sztuka w Polsce około roku 1989”, a w 2015 r. – pt. „O polskich buntach w czasach PRL-u w sztuce Edwarda Dwurnika i trzydziestu innych artystów”. Najmniejszą wystawą była prezentacja „Trzynastu obrazów z drogi do wolności” w Lublinie w 2012 r. w galerii Gardzienice, największą zaś wystawę (130 dzieł) pokazaliśmy w Miejskiej Galerii Sztuki w Bydgoszczy w 2009 r., na 20-lecie wolnej, suwerennej Polski.



Wystawa „Radomski Czerwiec 1976”, Muzeum Okręgowe w Radomiu, 1991, aranżacja



Wystawa „Radomski Czerwiec 1976”, Muzeum Okręgowe w Radomiu, 1991, aranżacja

Kolekcja powstawała przez lata. Jako datę dzienną rozpoczęcia jej tworzenia wskazuję 14 grudnia 1981 r., kiedy muzealna komisja zatwierdziła do zakupu obraz Edwarda Dwurnika o wydarzeniach Radomskiego Czerwca. W 1983 r. dyrektor Tomasz Palacz zdecydował się pokazać na wystawie dwie inne prace z tego zestawu, „Ołtarz prawdy” Jerzego Beresia zdjęła cenzorka, a wielki obraz Dwurnika pt. „Bogurodzica” – po awanturach – władze polityczne. Dyrektor Palacz stracił pracę.

Przypomnienie wystawy o Radomskim Czerwcu z roku 1991

Po raz pierwszy pokazałem w Radomiu większy zestaw dzieł o tematyce społecznej i politycznej w 1991 r. Byłem wówczas przewodniczącym Komisji Zakładowej „Solidarności” w Muzeum Okręgowym i organizowałem pierwszą rocznicową wystawę. Odbywała się w 15. rocznicę wydarzeń radomskich – na otwarcie przyjechało wielu gości, między innymi niedawni działacze podziemia. Obok dzieł z kolekcji muzealnej pokazałem wypożyczone od autorów trzy projekty pomnika zgłoszone w 1981 r. na konkurs. Bronisława Kubicy – laureata I nagrody oraz dwa inne autorstwa wy-

bitnych rzeźbiarzy: Zbigniewa Frączkiewicza i Macieja Szańkowskiego. Projekt nagrodzony I nagrodą sugerował, że w Radomiu demonstrantów przejechały czołgi. Praca Szańkowskiego – zgłoszona pod godłem „Powiew", teraz często nazywana „Powiewem wolności" – ukazuje znaczenie radomskich wydarzeń w powojennej historii Polski.

Autorami wystawy w 1991 r. byli wraz ze mną Zbigniew Skuza, historyk z Muzeum Wsi Radomskiej, i Bronisław Kawęcki, były przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika Radomskiego Czerwca. Współpracował z nami także Wiesław Mizerski.

Wystawa w Bydgoszczy i katalog

W 2009 r. w Galerii Miejskiej BWA w Bydgoszczy czynna była wystawa „W drodze do wolności. Sztuka w Polsce wobec spraw publicznych 1966–1994". Wystawa została zorganizowana w ramach obchodów 20-lecia odzyskania przez Polskę suwerenności. Pozwalała odczytać zapisaną w dziełach opowieść o Polsce i sztuce ostatnich blisko 50 lat. Towarzyszył jej katalog prac.

Wystawa prezentowała 130 dzieł autorstwa 52 twórców – obrazy, rzeźby, rysunki, grafiki i jedną instalację. Są w tej kolekcji dzieła wybitne i ważne świadectwa czasu. Przywołują ważne daty w polskim kalendarzu – Marzec 1968, Grudzień 1970, Czerwiec 1976, czas od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981, stan wojenny, rok 1989. Zamykał narrację rok 1994, kiedy Edward Dwurnik – kronikarz tych lat – skończył malować cykl „Od Grudnia do Czerwca", poświęcony ofiarom stanu wojennego. Pointą były jednak prace z lat późniejszych, ukazujące polskiej historii ciąg dalszy. Najnowsza pochodziła z 2008 r.

W tak dużej przestrzeni – 700 m kw. – nawet dwa wielkie obrazy Dwurnika o długości ponad czterech metrów, a tym bardziej obrazy Tadeusza Boruty, Grzegorza Bednarskiego, Marka Sobczyka i Ryszarda Woźniaka o długości trzech metrów, postacie w rzeźbach Sylwestra Ambroziaka o wysokości ponad dwóch metrów nie wydawały się ogromne. Dzieła związane z radomskimi wydarzeniami, prezentowane na wystawie, to obraz Edwarda Dwurnika o Radomskim Czerwcu z 1978 r., rzeźba Jerzego Beresia „Wahadło 1976" z 1976 r. i projekt pomnika „Powiew" Macieja Szańkowskiego z 1981 r.

Zbiór dzieł powstał w szczególnym momencie historii Radomia i Polski. Był to czas Solidarności, któremu towarzyszyła wiara wielu ludzi, także mojego pokolenia, które mógłbym nazwać pokoleniem Solidarności, że możliwe jest bezinteresowne działanie na rzecz kultury. Zgromadzona w Radomiu kolekcja miała być pomnikiem czasu i idei Solidarności. Może w przyszłości uda się wydać album prezentujący ten fragment kolekcji.

Mieczysław Szewczuk



Czerwiec '76 w kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu

Lidia Ziemińska

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Fragment wystawy „Żyć sztuką", obraz Edwarda Dwurnika „Radom '76" i obrazy Krzysztofa Mańczyńskiego

Zbliża się 40. rocznica wydarzeń Radomskiego Czerwca 1976 r. Z tej okazji, zamiast recenzji z wystawy kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej „Żyć sztuką" chciałabym przypomnieć trzy dzieła związane z rokiem 1976 i tą rocznicą, należące właśnie do tej kolekcji.

Pierwszy z nich to obraz Edwarda Dwurnika, artysty, którego chyba nie trzeba przedstawiać. To znany i wybitny malarz (ur. 1943 r.) mieszkający w Warszawie. Studiował na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Malarstwa, a także na Wydziale Rzeźby. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród, można nazwać go tytanem pracy: w swoim dorobku ma 3,5 tys. obrazów i 10 tys. rysunków. Przeważnie pracuje seriami. W latach 60. wykrystalizował się jego styl, w którym rysunek odgrywa decydującą rolę, choć Dwurnik jest świetnym kolorystą; od czasu studiów malarz jest zafascynowany twórczością słynnego Nikifora Krynickiego.

Jego obraz „Radom '76" został dołączony do cyklu „Podróże autostopem" (nr 125) rozpoczętego w 1966 r. i kontynuowanego do dziś. Namalowany w technice olejnej na płótnie w 1978 r. i poświęcony wydarzeniom radomskim z 25 czerwca. To duży obraz (120 cm na 210 cm) w stylistyce charakterystycznej dla Dwurnika. Artysta przedstawił sytuację, gdy po stłumieniu w mieście protestów robotniczych oddziały ZOMO (Zmechanizowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) zgromadzono na placu Konstytucji w Radomiu. Obraz jest niezwykle ekspresyjny. Jego siłę stanowi kolorystyka zbliżona do fowistów i ekspresjonistów. Oglądamy centrum miasta z lotu ptaka, bez zaznaczonej linii horyzontu. Chociaż artysta nawiązuje do Radomia, nic sobie nie robi z topografii ani z perspektywy. Na płót-



Fragment wystawy „Żyć sztuką", rzeźba Jerzego Beresia „Wahadło"

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

nie dużo się dzieje i jesteśmy trochę przytłoczeni liczbą detali i motywów. Dobrze jest ten obraz oglądać kilkakrotnie, wówczas za każdym razem odnajdziemy w nim coś nowego. W miejscu prawie centralnym usytuowana jest budowla – kościół zwany przez radomian garnizonowym, dawna cerkiew rosyjska. Owa budowla stanowi najjaśniejszy element obrazu, jest biała i silnie kontrastuje z kolorowym tłem. Na podmalówce w barwie soczystej wiosennej zieleni, nasyconego oranżu i fioletu rozmieszczone są gęsto groteskowe postaci tworzące tłum. Oddziałom ZOMO towarzyszą psy, przedstawione jako dzikie bestie i potwory. Ludzie i zwierzęta zgromadzeni na placu szczelnie wypełniają kolistą przestrzeń wokół kościoła i między kolorowymi kamieniczkami. Pozornie zwarty tłum dzieli się na mniejsze grupy, które tworzą osobne scenki – wściekłe psy szczekają i rwą się na smyczach, ktoś jedzie na motocyklu, ktoś wszedł na ogrodzenie i wymachuje pałką, jakaś grupa siedzi na schodkach kościoła, który też nie wydaje się bezpiecznym miejscem, bo oto jakaś inna grupa zomowców usiłuje zwalić kamienną figurę, rzeźbę Chrystusa przed wejściem do kościoła, inna z kolei grupa wspina się po drabinie na dach, na kościelną wieżyczkę. Płótno oddaje atmosferę polskiej rzeczywistości tamtego czasu.

Obraz był jednym z pierwszych dzieł zakupionych przez radomskie Muzeum Okręgowe do kolekcji sztuki współczesnej. Można go było niedawno oglądać na wystawie „Żyć sztuką", która prezentowana była od 28 lutego do 15 maja 2016 r. w gmachu głównym Muzeum im. J. Malczewskiego i w Muzeum Sztuki Współczesnej po drugiej stronie Rynku.

Dwa następne dzieła, o których chcę opowiedzieć, to rzeźby Macieja Szańkowskiego (ur. 1938), mieszkającego w Warszawie, i krakowskiego artysty Jerzego Beresia (1930–2012).

Pierwszy z nich to absolwent zakopiańskiej szkoły Kenara i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, studiował na Wydziale Rzeźby u prof. Jerzego Jarnuszkiewicza. W latach 1963–1966 pracował w szkole Kenara. Od 1982 do 2003 r. prowadził pracownię rzeźby w PWSSP w Poznaniu, w latach 1996–2008 pracował na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, był kierownikiem Zakładu Rzeźby.

Nie ma tworzywa, które byłoby mu obce. Tworzył rzeźby z żelaza, aluminium, kamienia, drewna, brązu, betonu, papieru, ceramiki, elementów natury. Jest autorem kilku pomników, m.in. zrealizował **pomnik Ofiar Terroru Komunistycznego 1944–1956** na Służewie w Warszawie i **pomnik Ofiar Ziemi Sandomierskiej** w Sandomierzu. Tablica jego autorstwa upamiętnia złamanie szyfru Enigmy. Inne jego pomniki pozostały w sferze zamierzeń i projektów, do nich należy zaliczyć pomnik Radomskiego Czerwca '76 zatytułowany „Powiew".

Praca składa się z otwartej „bramy" nad którą unosi się powiewająca kurtyna. Od strony frontalnej nad bramą widnieje data 1976, z tyłu na kurtynie możemy odczytać kilka dat, zaczynając od roku 1956 poprzez 1970, 1976 do 1980 – to daty polskich buntów przeciwko władzy. Autor projektu pomnika sytuuje radomskie wydarzenia pośród innych ważnych dat, nadając im znaczącą rangę. Na konkursie w Radomiu w 1981 r. projekt pomnika przeszedł niezauważony przez jury.

Przyznam, że moim zdaniem projekt ten nie jest zupełnie udany, zbyt ciężka optycz-

nie wydaje się owa kurtyna, zawisła w wyniku powiewu nad zbyt „wiotką" bramą. Być może projekt, który dobrze wyglądał w szkicu rysunkowym na papierze, okazał się nie tak przekonujący w gipsowej makiecie. Wydaje się, że pomnik miałby lepsze proporcje, gdyby zmienić nieco koncepcję przyciężkiej kurtyny... Ale to tylko moje osobiste zdanie.

Autorem drugiej rzeźby jest Jerzy Bereś, także akcjonista i performer.

Studiował rzeźbę w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, najpierw u profesorów Franciszka Kalfasa i Stanisława Popławskiego, potem u Xawerego Dunikowskiego. Wykształcił własny, niepowtarzalny styl, jego działania pokrewne były happeningowi i performance.

Rzeźba Jerzego Beresia z 1976 r. nosi tytuł „Wahadło".

Jest bardzo prosta i surowa w wyrazie, charakterystyczna dla tego artysty. Składa się z ociosanego drewnianego bala osadzonego na czterech również drewnianych nogach. W wydrążonym boku umieszczone są symetrycznie chleb i kamień. Powyżej znajduje się konstrukcja, w której na jednym końcu drąga umieszczona jest wielka drewniana dłoń, a na drugim – metalowy dzwonek. Jeśli poruszymy drąg, dzwonek zadźwięczy, a dłoń będzie się „wahać" między chlebem a kamieniem... Przekaz jest bardzo prosty, humanistyczny w swojej wymowie: do nas należy wybór między dobrem a złem. Najprościej rzecz ujmując – można sięgać po chleb lub po kamień. Można też odczytać metaforę wahadła inaczej: ówczesna władza wybrała przemoc (kamień), gdy zwykli ludzie zabiegali jedynie o chleb (zaspokojenie swoich podstawowych potrzeb).

Ograniczyłam się tylko do opisu tych trzech prac, gdyż w kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej nawiązują tematycznie do Radomskiego Czerwca. Czy radomskie muzeum więcej prac tego typu nie posiada? Szkoda, że nie ma w kolekcji prac radomskich artystów odnoszących się do tego wydarzenia. Można zadać sobie pytanie, dlaczego tak się złożyło? Odpowiedź wydaje się złożona... Trudno mi odpowiadać w imieniu koleżanek i kolegów artystów, dlaczego się tak stało. Nie każdy rodzi się artystą zaangażowanym. Każdy twórca ma indywidualny i niepowtarzalny „program" odnoszący się do otaczającego świata i ludzi, zdarzeń, przeżyć osobistych. Lata 70. znam wyłącznie z opowieści ludzi starszych, nie z autopsji. Sama byłam dzieckiem, chodziłam w tym czasie do przedszkola. W sklepach brakowało podstawowych artykułów spożywczych i przemysłowych, nie wspominając o farbach i papierze. Za artystyczne interpretacje wydarzeń czerwcowych z pewnością groziły represje w czasach PRL-u.

Spróbuję odpowiedzieć na pytanie, czemu sama w swojej twórczości nie poruszam takiej tematyki. Wydaje mi się zbyt odległa i nieprzeżyta „na własnej skórze", bym miała podejmować ją w swojej twórczości. Zbyt duży dystans czasowy robi swoje. Dla mnie warunkiem koniecznym dla wypowiedzi artystycznej jest przeżycie osobiste, doświadczenie jakichś stanów emocjonalnych, impuls, w wyniku czego powstaje jakiś obraz, szkic, notatka. Często też impulsem twórczym jest samo tworzywo, materia potrafi być równie inspirująca jak myśl, przesłanie, które można zwerbalizować.

Lidia Ziemińska



Kurator
Stanisław Zbigniew Kamieński

W tym wydaniu Miesięcznika Prowincjonalnego galeria została pomyślana inaczej niż zazwyczaj i, jak cały podwójny numer pisma, odnosi się do Radomskiego Czerwca '76, w związku z 40. rocznicą tamtych wydarzeń. Zamiast prac jednego artysty pokazujemy zestaw fotografii, rysunków oraz grafik komputerowych kilku autorów trzech pokoleń – różnica w datach urodzenia sięga niemal pół wieku. Wszyscy poza Michałem Wójcickim, który pochodzi z Pionek, to radomianie. Wystawę w galerii rozpoczynają historyczne zdjęcia Tadeusza Krzemińskiego, inżyniera i nauczyciela interesującego się sztuką, wykonane 25 czerwca 1976 r. z balkonu bloku sąsiadującego z ówczesnym komitetem partii. Milicja próbowała potem zidentyfikować osobę fotografa, ale gospodarz mieszkania tłumaczył, że zajścia obserwowało kilka przypadkowych osób z ulicy, których nie zna; zdjęcia więc ocalały, a ich autor uniknął kłopotów, kto wie, czy nie poważnych?

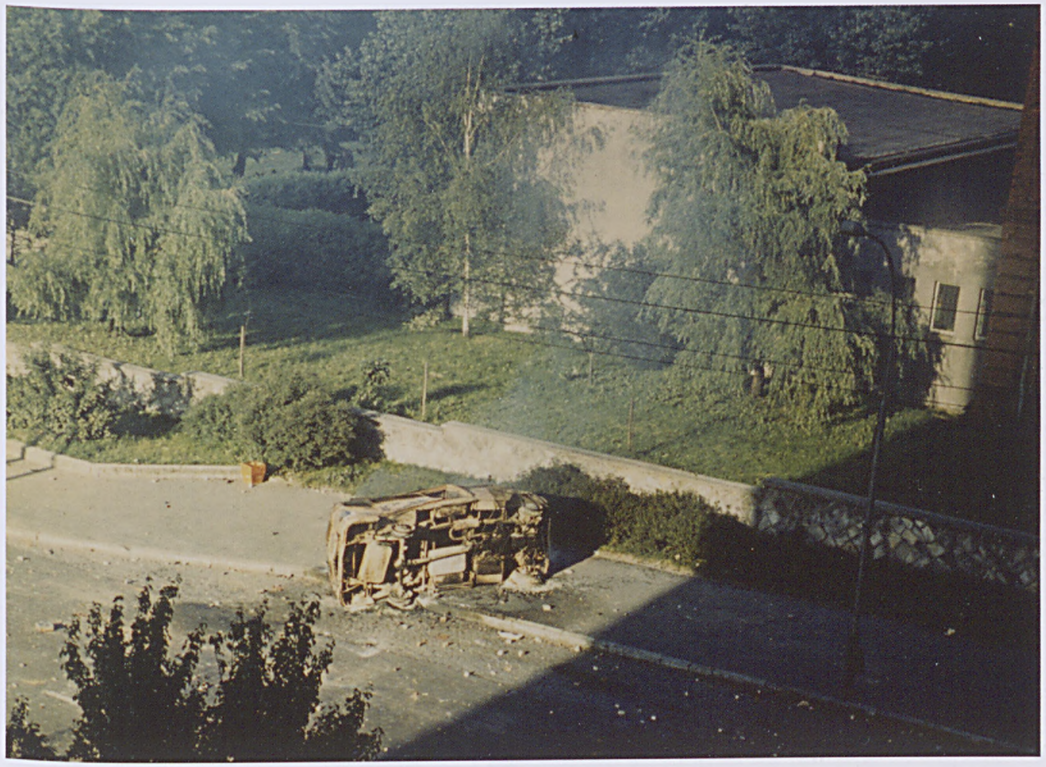
Pokazujemy też rysunki Krzysztofa Mańczyńskiego, malarza, absolwenta Wydziału Grafiki warszawskiej ASP (dyplom w 1968 r.) wykonane niedługo po stanie wojennym w 1983 r. Komentują one, w charakterystyczny dla autora sposób – językiem groteski, napiętą i ponurą atmosferę tamtych lat po zdelegalizowaniu Solidarności.

Wszystkie następne prace w obecnej galerii powstały już w 2016 r., niejako „na zamówienie" zbliżającej się rocznicy Radomskiego Czerwca. Moje fotografie (ukończyłem ten sam wydział ASP w Warszawie co Krzysztof Mańczyński, tylko siedem lat później) pokazują, jak na co dzień w naszym mieście, przede wszystkim na ulicy noszącej od 1989 r. nazwę 25 Czerwca (wcześniej 1 Maja). Może są te zdjęcia metaforą historycznej świadomości mieszkańców Radomia?

Autorzy następnych prac to absolwenci Wydziału Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego, dawnej Politechniki Radomskiej, choć Mariusz Dański, obecny prodziekan tego wydziału, kończył uczelnię w 2000 r., gdy nie istniał jeszcze odrębny wydział, a jedynie Katedra Wychowania Plastycznego na Wydziale Nauczycielskim PR. Dański pokazuje dwa rysunki komputerowe, wykorzystując znane, reprodukowane wielokrotnie fotografie scen przed KW PZPR i przenosząc je do współczesności.

Rysunek z elementami kolażu Michała Wójcickiego (dyplom w 2011 r.) odnosi się do prowokowania przez służby PRL chuligańskich wybryków, aby tak przedstawić światu robotniczy protest w Radomiu.

Zamykają ekspozycję grafiki komputerowe Macieja Kamieńskiego, mojego syna (dyplom w 2012 r.), wykorzystujące fotografię cyfrową; przedstawienie robotniczej ręki na tle czerwonej flagi i z balonikami to pastisz peerelowskiej, propagandowej retoryki, o własnej (ironicznej?) wymowie.

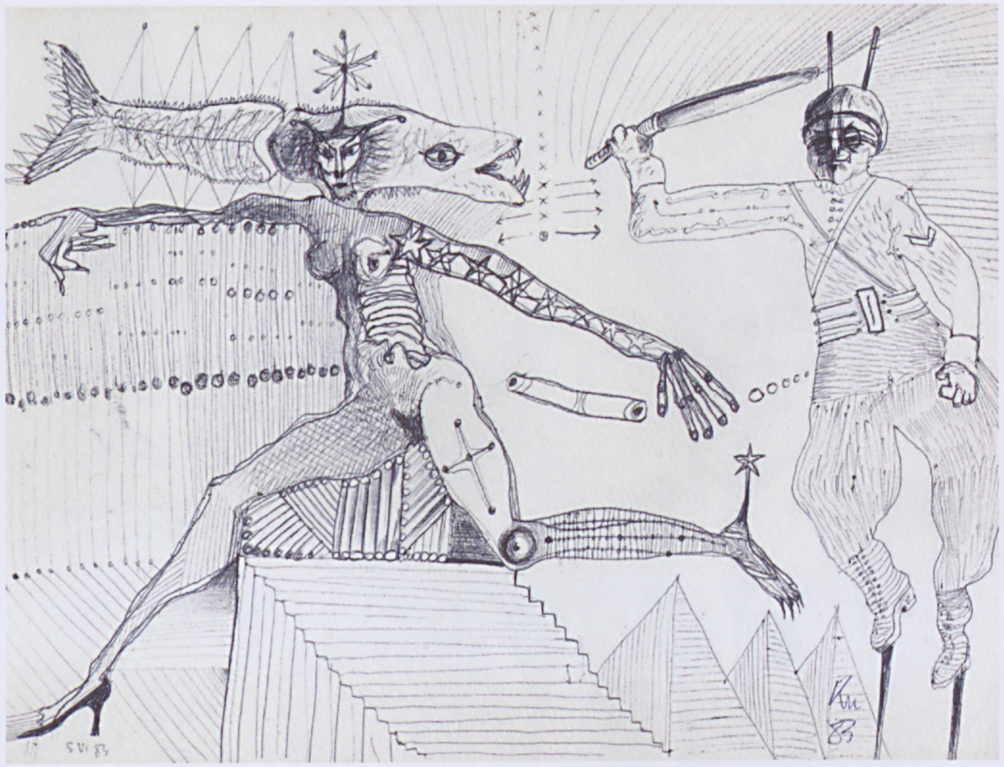


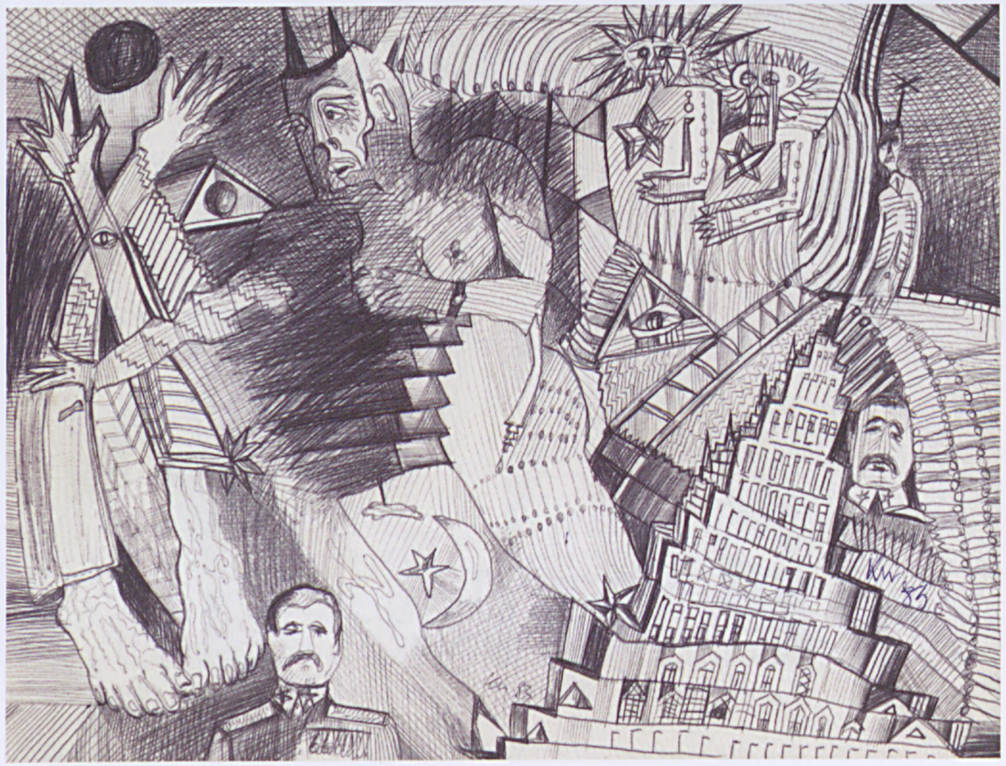


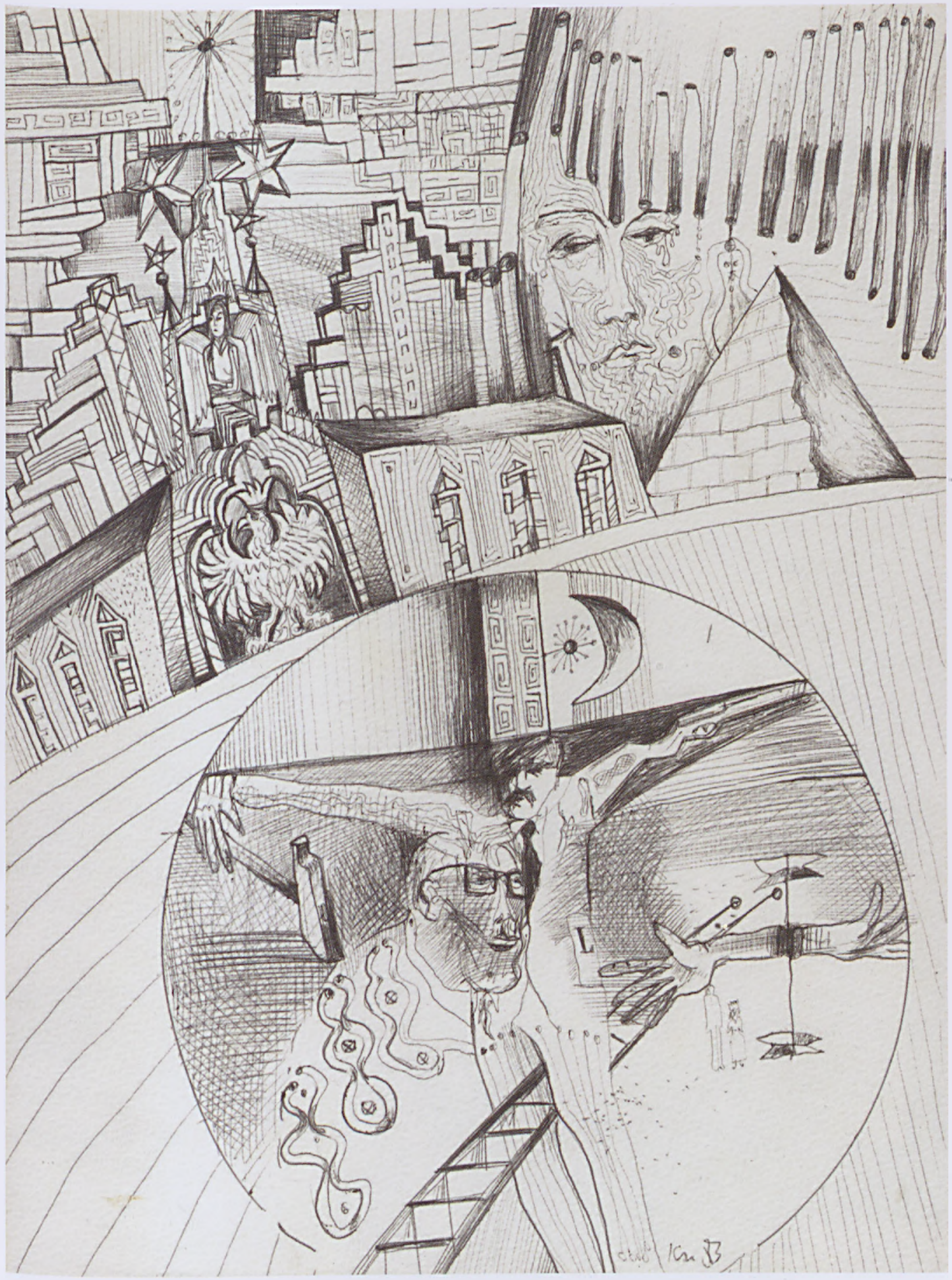


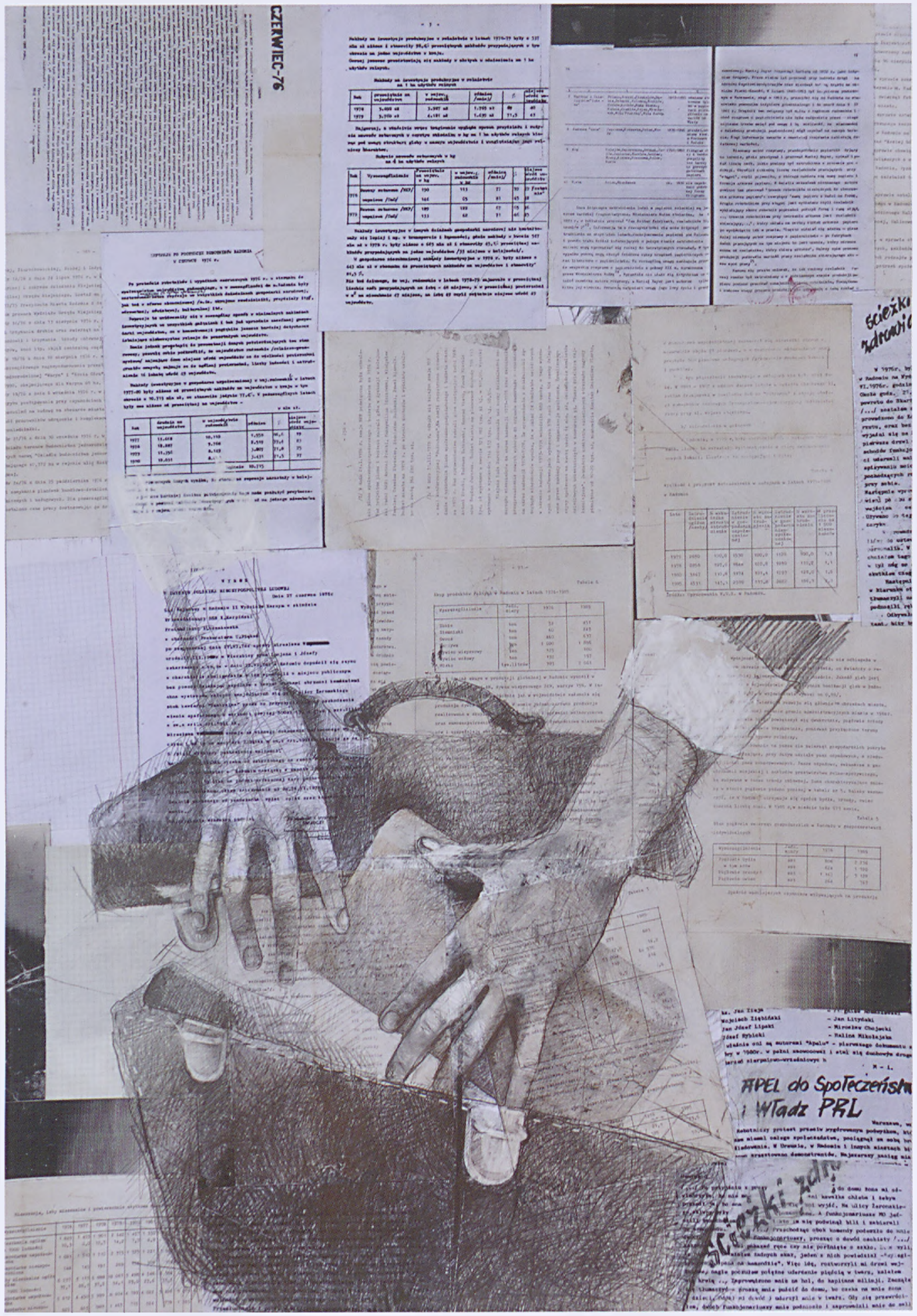
strony 39 i 41
Tadeusz Krzemiński, fotografie Wydarzeń Radomskich, 25.06.1976 r., barwny slajd
strona 42–45
Krzysztof Mańczyński, pięć rysunków bez tytułu, 1983 r., 32 x 24 cm lub 29 x 32 cm



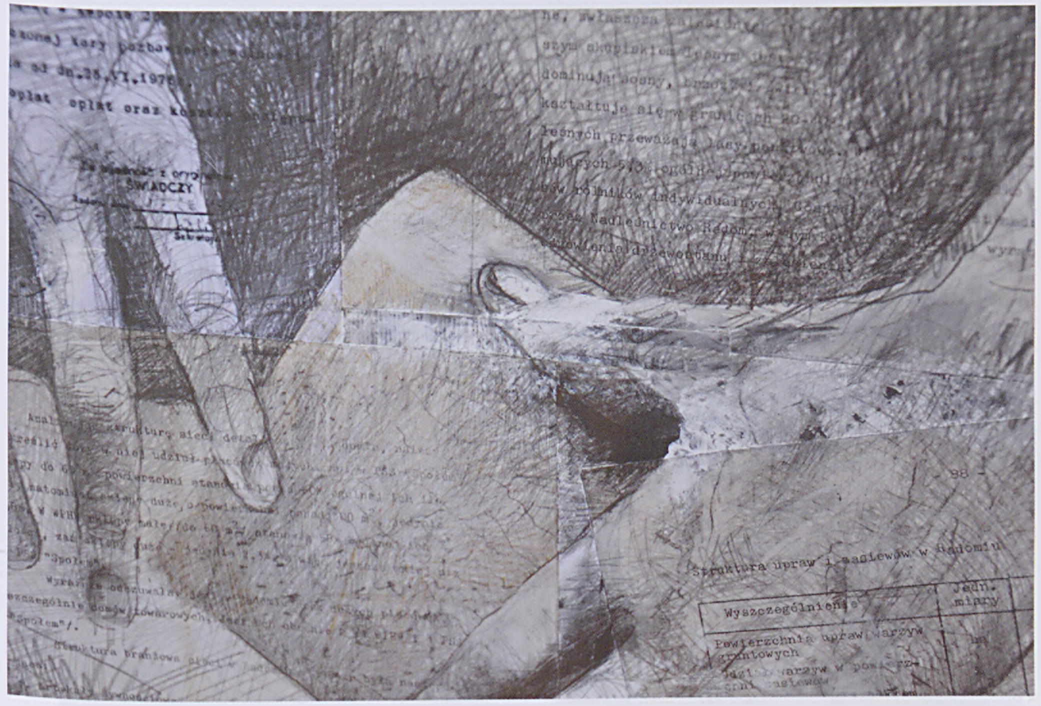








Michał Wójcicki, rysunek, kolaż „Kret", 2016, 100 x 70 cm



Nawiązanie do sytuacji, kiedy funkcjonariusze służb MO „przyłączali się" do protestujących, podszywając się pod robotników, aby infiltrować, prowokować i podsycać i tak gorące nastroje ludzi.

Rysunek to odniesienie do następującej sytuacji. Elegancik w garniturku z aktówką podchodzi do witryny sklepowej na ulicy Żeromskiego, wyjmuje cegłę z owej aktówki i rzuca w szybę. Następnie odchodzi jak gdyby nigdy nic.

W tej samej teczce ma już oczywiście listę podejrzanych oraz winnych zaistniałego zniszczczenia.

Michał Wójcicki











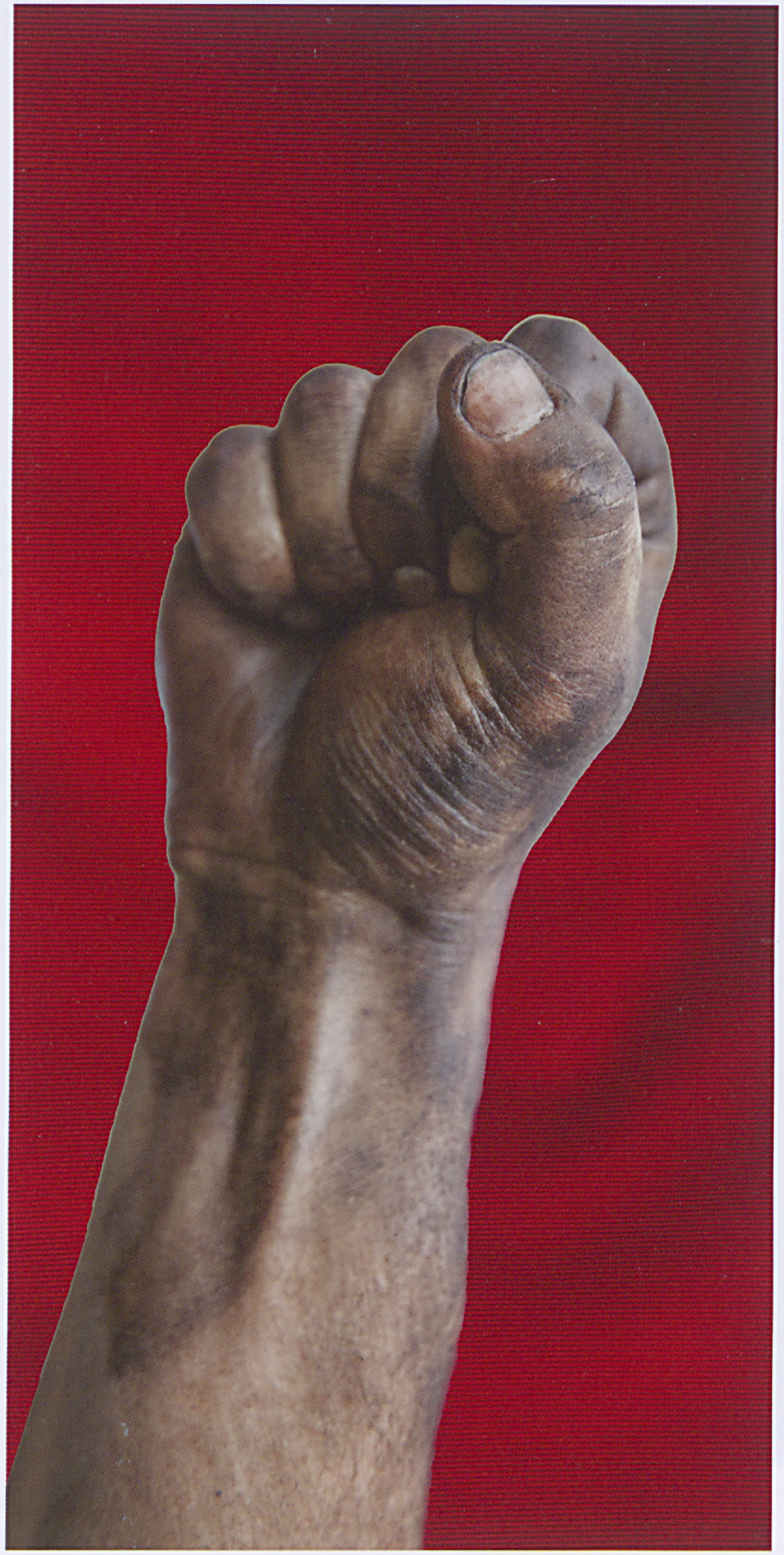


Stanisław Zbigniew Kamieński
pięć fotografii „ul. 25 Czerwca"
jedna fotografia „Stowarzyszenie
Radomski Czerwiec'76"
fotografia cyfrowa, 2016 r.





Mariusz Dański, dwa rysunki komputerowe bez tytułu, 2016 r.





Maciej Kamieński
bez tytułu
grafiki cyfrowe
2016 r.

Uwertura

Grzegorz Sasin

25 czerwiec 1976. Protest radomskich robotników przeciw podwyżce cen żywności. Data przełomowa w historii PRL. Mało kto zdawał sobie wówczas sprawę, że jest to początek końca władzy PZPR w Polsce. A przecież protest ów był niczym kamyk, który pociągnął za sobą lawinę. Była to uwertura do opery, która potrwała jeszcze 13 lat. O tym zdarzeniu opowiada zrealizowany 20 lat później film „Miasto z wyrokiem" – reżyseria: Wojciech Maciejewski, scenariusz: Jacek Indelak.

Konstatacja: trudno twierdzić, że oni nie umieli przewidywać. Umieli, bo MO (Milicja Obywatelska) była przygotowana do boju przez Biuro Polityczne PZPR i MSW. Decydenci kierowali się przecież dewizą, że przezorny zawsze ubezpieczony. Ten hit reklamowy oświetlał decydentom drogę, gdy zdecydowali, jak informuje nas głos narratora w filmie, o powołaniu różnych jednostek milicji na intensywne ćwiczenia przygotowawcze do... Właśnie, już 16 czerwca zostały postawione w stan gotowości oddziały milicyjne, w tym ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), a była to służba, przy której bladły największe milicyjne zakapiory, co zapamiętały z wcześniejszych lat moje nastoletnie wówczas plecy. Przygotowano też 178 dodatkowych miejsc w aresztach, przedłużono czas pracy milicji do 12 godz.

I zaczęło się oczekiwanie...

24 czerwca premier Piotr Jaroszewicz ogłasza w Sejmie podwyżki cen żywności.

25 czerwca rano ruszają robotnicy radomskich fabryk, przede wszystkim Waltera i Radoskóru. Potem dołączają inne zakłady pracy, m.in. Zakłady Mięsne.

I zaczyna się...

Nic nie było przygotowane – to opinia ówczesnego komendanta MO w Radomiu Mariana Mozgawy. Nie pamięta? Z dokumentów archiwalnych wynika co innego: że byli przygotowani – i to na maksa. Tylko nie przewidzieli, że protest największą skalę osiągnie właśnie w Radomiu. W każdym razie nic nie było przygotowane na miejscu, tj. w zakładach pracy, których załogi ruszyły pod radomski „Biały Dom" pod hasłem „My chcemy chleba!". Ludzie chcieli, żeby sekretarz wojewódzki partii w Radomiu Janusz Prokopiak interweniował w Warszawie w sprawie odwołania podwyżki cen artykułów żywnościowych, których i tak nie było w nadmiarze na rynku, tak jak nie było w nadmiarze pieniędzy w kieszeniach robotników – przynajmniej tych mieszkających w Radomiu. W każdym razie do robotników pod komitetem partii zagrano ogranymi sloganami, co tylko rozwścieczyło protestujących. Interwencja w Warszawie odniosła, owszem, skutek: sekretarz wojewódzki został ewakuowany z budynku komitetu, który to budynek przeszedł we władanie demonstrantów. Zapanował chaos, wkrótce komitet zaczął płonąć, podpalony przez... Oskarżono o to jednego człowieka – Krzysztofa Gniadka, który, już po zdławieniu protestu, był najbardziej represjonowany ze wszystkich protestujących. Ale kto idzie na demonstrację z kanistrem benzyny? Może więc prowokacja? Tym bardziej że „podpalacza" wskazał pod przymusem i fizycznym, i psychicznym inny protestujący, co po latach odwołał na piśmie, przed kamerą filmową. Więc prowokacja? Dla byłego I sekretarza KZ Zakładów Mięsnych była to prowokacja, ale wywołana przez demagogów, którzy zbuntowali spokojnych dotąd ludzi, i tak myślących tylko o żarciu, mięsie, bo przecież przez lata wynosili z zakładów mięso i jego przetwory, a teraz chcieli chleba! Bardziej przenikliwa była jedna z pracownic KW w Radomiu: „Ustrój im nie pasował, nie chodziło o chleb". Tym bardziej że ludzie chcieli innego życia. ONI przecież mają, a my nie.

„Niewolnicy, nieszczęśliwcy" – jak to określił były wiceprzewodniczący rady miejskiej – „a nie szczęśliwcy, jak myślała władza".

I wtedy powoli, ale z coraz większym rozpędem zaczęła wkraczać milicja. Zaczęły się milicyjne pościgi i obalania ludzi na chodnik, jezdnie: dzieci, kobiety, mężczyźni. Starzy i młodzi. Protestował czy był tylko przechodniem – i tak chuligan. Chuligan, który rozbija sklepy i kradnie wszystko ciurkiem, jak leci, przemieniając miejskie trotuary w szklane pobojowisko. Ale przecież sklepy na Żeromskiego zostały porozbijane cegłami, a świadkowie widzieli różnych młodzieńców, którzy targali ze sobą cegły w... dyplomatkach. Czyli u początku protestu prowokacja, później też prowokacja, potem manipulacja wobec zatrzymanych, jakby przygotowywano już dowody do aktu oskarżenia. Tak wynika z rekonstrukcji zdarzeń wykonanej przez filmowców i pokazanej w „Mieście z wyrokiem".

A potem nad miastem nastała cisza...

– Pałowali mnie, kopali na komendzie – mówi jeden świadek.

– Strumieniem wody mnie potraktowali – mówi drugi.

– Zakuli mnie w kajdany – mówi inny.

– Miałem długie włosy, jeden złapał mnie za nie i rzucił na ziemię – jeszcze jeden świadek.

– Ustawili się w dwóch rzędach i bili pałami – jeszcze jedna wypowiedź.

– Kazali leżeć, innym klęczeć, lepiej było się nie ruszać – itd., itd., itd...

A co na to Gierek? Gierek, bo dopiero po proteście okazało się, kto grał pierwsze skrzypce. Gierek najpierw ustami Jaroszewicza ogłosił podczas partyjnej telekonferencji, że doszło do naruszenia zasad socjalistycznej demokracji. A sam dodał, że szczególnie w Radomiu i że radomianie to wyjątkowe warchoły. I jeszcze Gierek się chwalił, że gdyby nie jego zimna krew, to polałaby się krew warchołów, ale on nie jest emocjonalny!

I potem zaczęły się wiece poparcia dla Gierka, wiece na klęczkach, gdzie trzeba było się wykazać serwilizmem wobec polskiego genseka, bo został przecież obrażony! A zatem każdy Polak winien wyrazić skruchę, radomianin zaś na stadionie Radomiaka, gdzie spędzono tłumy ludzi, by mogli się dowiedzieć, że są warchołami, a uczciwy Polak to obywatel zdyscyplinowany i wdzięczny władzy, bo o niego dba. Sam prezydent Radomia składał z trybuny na Radomiaku hołd Gierkowi, by pokazać, jak taki właśnie „uczciwy" Polak powinien dokonać rachunku sumienia (sic!),

bo ten jest potrzebny towarzyszowi Gierkowi jak słońce, woda, powietrze... Aż się zatchnął, co widać na filmie.

A potem zaczęły się zwolnienia z pracy. Bez odwrotu.

A potem zaczęły się też pokazowe procesy pod nadzorem prokuratorów z Warszawy. Na zamówienie polityczne. Prokuratura i sądownictwo polskie skompromitowały się. – To była tragedia tamtych dni – powiedział Stanisław Iwanicki, wówczas aplikant w prokuraturze.

Episkopat: to błąd polityczny takie aresztowanie demonstrujących ludzi wbrew cywilizowanemu światu.

I wtedy też powstał Komitet Obrony Robotników – kolejny kamyczek w lawinie, która zaczęła się toczyć ...

Na wiecu poparcia w Radomiu jeden z uczestników (Dariusz Przywieczerski z Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego PZPR) powiedział światu z trybuny: Prawda zawsze zwycięży! Ta partyjna, ta gierkowska. I chyba miał rację! „Miasto z wyrokiem", film nakręcony w 20 lat po wydarzeniach czerwcowych, też dostał wyrok: sąd odesłał film na półki, objął nakazem cenzorskim – z powództwa cywilnego... Chociaż skarżący się Janusz Prokopiak był w tamtych czasach osobą publiczną i dlatego nie obejmuje go paragraf dotyczący naruszenia dóbr osobistych. Bo przecież gdyby tak było, to historycy nie mogliby pisać, filmowcy kręcić filmów, a ludzie po prostu gadać. Sędziowie, oskarżeni, skarżący... wszyscy by na okrągło siedzieli w sądach!

Coś się stało

„Miasto z wyrokiem" jest jak thriller. Ogląda się go z narastającą grozą. Wywołuje w widzu skrajne uczucia: strach, nadzieję, rozpacz. Ale happy endu brak. Poniekąd jest też zbudowany jak antyczna tragedia: prolog, trzy epejsodiony i... zawieszenie akcji. I jest też dramatem psychologicznym. Odkrywa zdumienie. Zdumienie robotników, że są bici, poniewierani, a przecież mieli stanowić o sobie. „Nic o nas bez nas" – jak to leci w „Robotnikach 70" Kieślowskiego i Zygadły. Przecież na hasło „Pomożecie", pomogli, a tu poniżanie ludzkiej godności?

Tak, film wychwycił moment mentalnej zmiany. Przedtem było Gierek to, owo, Gierek tamto – wszyscy ćwierkali. Wcześniej to samo z Gomułką, ba, z partią w ogóle. I tu następuje zmiana, w czerwcu 1976 r. Koniec z Gierkami, z partią. Koniec: drogi robotników i ich niby przedstawicieli rozchodzą się. Zaufanie legło w gruzach. Partyjne fasady zostały odsłonięte.

Lawina ruszyła...

I dotąd się nie zatrzymała.

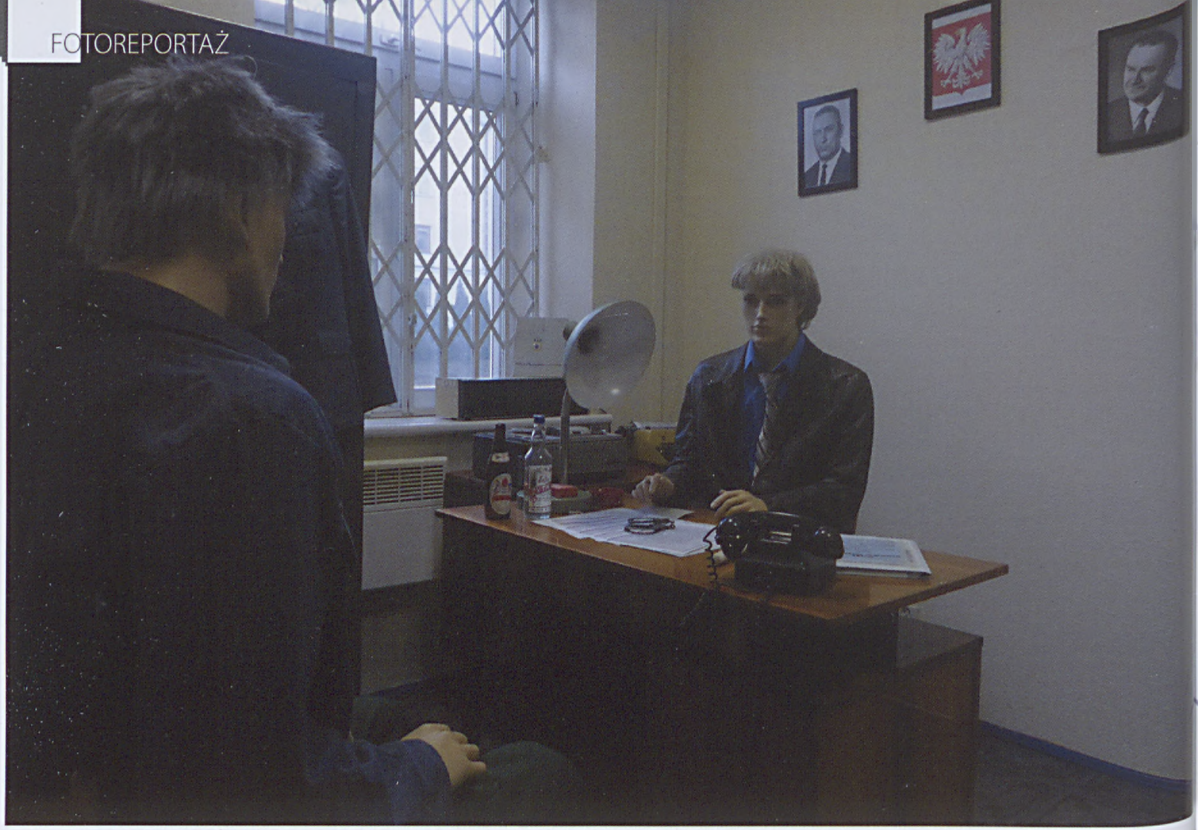
Grzegorz Sasin



Stowarzyszenie „Radomski Czerwiec'76"

Stanisław Zbigniew Kamieński

Muszę na wstępie przyznać się, zaznaczając od razu, że nie czuję z tego powodu wyrzutów sumienia, że dopiero w kwietniu tego roku byłem po raz pierwszy w siedzibie Stowarzyszenia „Radomski Czerwiec '76". Do odwiedzin w stowarzyszeniu i spotkania z jego prezesem Stanisławem Kowalskim skłoniła mnie zbliżająca się okrągła rocznica wydarzeń radomskich z 1976 r. W różnych chwilach owych 40 lat pamięć tamtego dnia i czasów, które nastały później w Radomiu, dawała o sobie znać lub odpływała ode mnie; działo się to przeważnie za sprawą pomnika, który miał upamiętniać tamte wydarzenia i który do tej pory nie stanął w mieście, natomiast skutecznie podzielił społeczność radomską, zamiast ją zintegrować. Pisząc tekst o mojej prywatnej pamięci 25 czerwca, postanowiłem poznać i spotkać się ze strażnikiem pamięci zbiorowej tamtych wydarzeń Stanisławem Kowalskim. Okazało się, że jest on kuzynem szkolnej koleżanki mojej żony (świat jest rzeczywiście mały). Z powodu owego powinowactwa nabraliśmy do siebie większego zaufania, co nie znaczy, że nie potrafilibyśmy rozmawiać, gdyby nie było owych dodatkowych, osobistych powiązań. Znalazłem się więc w siedzibie stowarzyszenia i moją uwagę zwróciły, jak pewnie wszystkich, którzy przychodzą tam pierwszy raz, dwie zaaranżowane scenki odnoszące się do radomskiego czerwca: jedna, dziejąca się na milicji czy w urzędzie bezpieczeństwa, przedstawia przesłuchanie oskarżonego o udział w zamieszkach, druga – stojące naprzeciw siebie na ulicy dwie postaci: cywilnego obywatela i umundurowanego zomowca. W obu scenkach użyte zostały sklepowe manekiny z czasów PRL-u. Dziś zdążyliśmy przywyknąć do różnorodnych stylistycznie manekinów, zachęcających do zakupu odzieży, bielizny czy obuwia, wówczas był tylko jeden ich typ o cukierkowej urodzie i miłym wyrazie twarzy, z nasadzoną na głowę, roz-



poznawalną z daleka, peruką. Otóż przesłuchujący i przesłuchiwany reprezentują ów peerelowski typ męskiej urody i gdybyśmy nie rozumieli, w jakiej sytuacji siedzą naprzeciw siebie rozdzieleni biurkiem, moglibyśmy sądzić, że to aranżacja towarzyskiego spotkania (choć na biurku leżą kajdanki). Jeszcze bardziej niejasna, a nawet groteskowa, wydaje się druga scenka, do której użyto dwóch damskich manekinów, zapewne z braku męskich. Stoją więc oddalone o metr od siebie – kobieta z peruką w loczki i torebką na ramieniu, z kokieteryjnym wyrazem twarzy, i druga, przebrana od stóp do głów za zomowca, z pałką i tarczą, w hełmie i jakichś specjalnych okularach, zapewne przeciwko gazom łzawiącym; jednak namiętne usta i cała sylwetka ujawniają skrywaną pod mundurem kobiecość. Modne dziś, coraz bardziej realistyczne rekonstrukcje różnych wydarzeń historycznych oraz filmowe opowieści kręcone z użyciem najnowszych technologii przyzwyczaiły nas do dosłowności przedstawień, ktoś musi znęcać się nad kimś innym w sposób najbardziej realny, niebudzący wątpliwości, brutalny, zatykający dech w piersiach, krew musi lać się z prawdziwych ran. Obie zaaranżowane w Stowarzyszeniu „Radomski Czerwiec '76" scenki mogą wydawać się nieco naiwne, nieco śmieszne, wobec prawdziwej grozy chwil sprzed 40. lat. Jak jednak sprawić, by stały się bardziej przekonujące i czy rzeczywiście jest to potrzebne? Czy wystarczyłoby zmienić staromodne manekiny na nowoczesne? Nie jestem tego pewien. A może siłę owych z pozoru naiwnych przedstawień stanowi właśnie to, że ludzi sprzed 40 lat przedstawiają manekiny z tamtych czasów?

Stanisław Zbigniew Kamieński







FOTOREPORTAŻ

Na ścieżkach zdrowia

Teresa Opoka

1

Co pamiętam z tamtego dnia? Wszystko. No, może przesadzam, może nie wszystko, ale bardzo dużo. Na przykład taki obrazek: w pokoju pod oknem duża brązowa walizka, coś tam już leży na dnie, na ławie stosik poskładanych ubranek dziecięcych, a obok talerzyk z szypułkami po truskawkach zjedzonych poprzedniego dnia wieczorem.

Żona zaczęła nas powoli pakować, za kilka dni mieliśmy wyjechać do Słupska i zacząć nowe życie. Nowe życie zawsze wydaje się zapowiadać lepiej od starego, tym bardziej że nie jechaliśmy w ciemno. Jasiek Kowalczyk wyjechał już pół roku wcześniej i zapewniał, że tam są naprawdę o wiele lepsze warunki aniżeli w Radomiu, potwierdziło się wszystko, co obiecywali trenerzy z Klubu Sportowego Czarni Słupsk, którzy odwiedzili nas zimą ubiegłego roku, żeby przyjrzeć się zawodnikom podczas walki i wybrali dwóch najlepszych – właśnie Jaśka i mnie. Jasiek wyjechał od razu, a mnie zatrzymała Maryla, a właściwie jej matura, którą miała zdawać w maju. Już zdała, i jedyna przeszkoda została pokonana.

Maryla i synek spali jeszcze, a ja wyszedłem w świetlisty poranek na spotkanie z przyjacielem. Zapowiadał się piękny dzień. Po uliczkach Glinic, dzielnicy przylegającej do centrum, snuł się zapach przekwitającego jaśminu. To było 25 czerwca. Rok 1976. Radom.

Szedłem tak szybko, że ktoś nawet w moim wieku (miałem wtedy dwadzieścia lat), ale bez kondycji, musiałby truchtać, żeby dotrzymać mi kroku. Zawsze tak chodziłem. Trasę od domu teściów do Zakładów Metalowych, około trzech kilometrów, przemierzałem w ciągu trzydziestu minut. W Zakładach Metalowych „Walter" zatrudniono mnie na etacie hartownika, nie miałem jednak pojęcia o tej robocie, czasy były fikcyjne; po odbiciu karty po około dwóch godzinach kręcenia się po wydziale, karmieniu rybek wychodziłem na trening do klubu Broni na stadionie przy ulicy Narutowicza, żeby tam boksować pod okiem trenera.

Ledwo wydobyłem się z małych uliczek na szeroką Słowackiego, zorientowałem, że jest inaczej. Zwykle o tej porze wszyscy byli już na swoich miejscach: urzędnicy w urzędach, robotnicy w fabrykach, dzieci i młodzież w szkołach, na ulicy mijało się od czasu do czasu jakiegoś starszego człowieka lub kobietę z małymi dziećmi zdążających ku jakiejś kolejce pod sklepem. Przed wiaduktem zrównałem się z grupą ludzi, minąłem ją, dogoniłem następną, większą, słyszałem głośne rozmowy. Serce pofrunęło mi w ich stronę. Nietrudno było się domyślić, dlaczego idą. Wczoraj wieczorem wszyscy oniemieli, oglądając i słuchając w „Dzienniku" wystąpienia premiera Jaroszewicza w Sejmie. Najpierw nawijał, jak bardzo polepszyło się życie Polaków od grudnia 1970 roku, odkąd pierwszym sekretarzem został Edward Gierek, a następnie wspomniał o pewnych trudnościach, którym partia musi zaradzić, by po chwili wyjaśnić, na czym ta „zaradność" miałaby polegać. Otóż postanowiono podnieść ceny żywności. I to nie o kilka procent, a o kilkadziesiąt. Wszystkim mniej więcej wiodło się biednie, a zapowiedziano, że się pogorszy. Przed telewizorem złorzeczyli teść i teściowa, żona i jej brat, a mój szwagier.

Na Żeromskiego stali przypadkowi przechodnie i gapili się na niezwykłe zjawisko. Maszerujący tłum był jakby ten sam, który brał udział w pochodzie 1-majowym, tylko inny – nie pod przymusem, nie wystrojony i uczesany świątecznie, bez flag czerwonych, bez portretów ojców komunizmu i partyjnych przywódców. W środku radość, gniew i święto, a z wierzchu – kombinezony, przetarte porki, sprane koszule i kretonowe sukienki. Ludzie wołali zwyczajnie, że chcą chleba, chcą, żeby władza cofnęła drakońskie podwyżki. Środkiem jechały wózki akumulatorowe – od razu rozpoznałem, że stoją na nich chłopaki z Waltera. Wskoczyłem. Ktoś podał mi flagę. Co teraz? Naradziliśmy się, trzeba powiadomić największe zakłady pracy, żeby ludzie się przyłączyli. Pierwsze do protestu wyrywały się kobiety, to one najlepiej wiedziały, ile trzeba wydać, żeby nakarmić rodzinę, jak kombinować, żeby starczyło do pierwszego, a i tak często nie starczało. Z Zakładów Sprzętu Grzewczego ludzie już wyszli na ulicę 1905 Roku i maszerowali do centrum. Tych, którzy nie chcieli się przyłączyć, wygwizdano i wyzywano od tchórzów i komunistów. Skandowali: „my nie, my nie, my nie poddamy się", „precz z podwyżkami", „chcemy chleba", „chcemy wolności". Pojawiła się duża grupa studentów z Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Długie włosy, dżinsy, koszule w kratkę. Na wózkach chłopaki też mieli długie włosy. Ja nie lubiłem długich, bokserowi nie pasowały, trzymałem się fryzury „na bitelsa". No i wąsy. Dużo wąsów wśród demonstrantów. Ze wszystkich stron miasta napływały wciąż nowe fale ludzi i ktoś krzyknął, że trzeba iść pod Komitet partii.

Panował spokój, milicja nie interweniowała, czuło się, że sprawa podwyżek zostanie wycofana, że władza prawdopodobnie chciała tylko zrobić próbę, żeby sprawdzić, czy ludzie wytrzymają wtłaczanie w jeszcze większą nędzę. Wydawało się, nie tylko mnie, że kiedy zobaczą, że nie można Polaków traktować jak bezwolnej masy, z którą można robić wszystko, nastąpi opamiętanie i wycofają się z podwyżek. Wystarczyło – tak myślałem ja i zapewne wszyscy zgromadzeni pod Komitetem – by Warszawa dowiedziała się o wielotysięcznej pokojowej manifestacji, żeby towarzysze puknęli się w głowę. Ufaliśmy Gierkowi, uważany był za rozgarniętego człowieka, któremu naprawdę zależało na rozwoju kraju. Między nim a ględzącym godzinami jego poprzednikiem Gomułką była przepaść. Gierek wiele lat mieszkał we Francji, widział Zachód, widział, na jakim poziomie tam żyją ludzie. Wiadomo, że Polska nie była niepodległym krajem, ale na pewno Związek Radziecki nie zarządził u nas podwyżek! Ludzie lubili Gierka i wierzyli, że naprawdę chce polepszyć ich los. Czuli, że i on ich lubi, rozumie zwykłego człowieka. Czyż nie jeździł po kraju i nie rozmawiał z prostymi ludźmi? Czyż nie pytał o ich bolączki? Czyż nie zwierzał się górnikom jak swoim kolegom, że sam pracował jako górnik wiele lat pod ziemią? Czyż nie pytał, jak nikt do tej pory: „Pomożecie?". A teraz

kolej na niego, żeby wysłuchał głosu ludzi pracy. Byłem przekonany, że nie zawiedzie i jeśli dostanie telefon z wiadomością, że te podwyżki są ponad ludzką wytrzymałość, przyjdzie z pomocą, bo teraz oni pragnęli mu zadać pytanie: „Czy pomożesz towarzyszu Pierwszy Sekretarzu?".

I tak staliśmy w wielkim tłumie, czekając, aż ktoś do nas wyjdzie. Nikt się nie wyrywał do przodu, nie miał zamiaru ogłaszać się przywódcą.

Wreszcie jakaś niepoważna figura w granatowym garniturze wyszła z budynku i stanęła na krześle. To był sekretarz organizacyjny Jerzy Adamczyk. Zaczął jak aparatczyk: „Ludzie, cały kraj pracuje, a każdy przestój...". Od takiego gadania robiło sie niedobrze. Przerwały mu okrzyki z tłumu. Jakaś młoda kobieta z dzieckiem na ręku zwróciła się do niego, przedstawiając swoją sytuację:

– Jestem wdową z trojgiem dzieci i pensja z trudem wystarcza teraz na przeżycie, a co mam dać dzieciom jeść po podwyżkach? A towarzysz ile zarabia?

– A dlaczego, jak wam tak zależy na dobru dzieci, nie zostawiliście ich w domu? Dlaczego je męczycie? – zapytał sekretarz.

Wówczas młoda matka postawiła dziecko na trawie, zdjęła but i zaczęła okładać szczupłe ciało towarzysza. Ktoś chwycił go za krawat i szarpnął kilka razy. Nieudacznik został otoczony kordonem esbeków i odprowadzony do budynku, żeby rozeźlony tłum go nie rozszarpał.

Ludzie na poziomie krzyku domagali się, żeby wyszedł do nich pierwszy sekretarz Prokopiak i wysłuchał ich, niestety czas płynął, a on się nie pokazywał.

Ktoś puścił plotkę, że uciekł, że przebrał się w biały kitel i zwiał w karetce pogotowia. Wkurzeni ludzie wdarli się do budynku. Mieli w sobie gniew, ale i strach. Nikt nie rwał się, żeby zostać przedstawicielem demonstrantów. Odwaga musiałaby być tak wielka, żeby nie lękała się śmierci. Minęło zaledwie sześć lat, gdy strzelano do ludzi w Gdańsku. Nikt nie musiał o tym głośno mówić, każdy wiedział, że towarzysz komunista to tyle co bandyta, dla którego zamordowanie zwykłego człowieka nie jest niczym specjalnym. Czasem po prostu koniecznym.

Ja również wszedłem z kilkunastoma facetami do budynku, chciałem zobaczyć na własne oczy, czy to prawda o tych luksusach, o których opowiadali ludzie. Prawda. Dywany, obrazy, porządne meble, telewizory, w kantynie koniaki, szampany, na stołówce lodówki wypełnione szynkami, baleronami. Inny świat. Najbardziej wkurzyło ludzi to żarcie, którego nie było w sklepach. Z okien Komitetu zaczęły wylatywać szynki, kiełbasy, dywany, a ludzie wołali: „Patrzcie, jak te czerwone świnie obżerają się naszym kosztem, a my po ośmiu godzinach przy maszynie musimy zasuwać do kolejki na noc, żeby zdobyć jakiś ochłap". Wreszcie wystraszony I sekretarz wyszedł ze swojego gabinetu, stanął w oknie na pierwszym piętrze i przemówił do zgromadzonych, obiecując, że zadzwoni do Warszawy. O to właśnie robotnikom chodziło. Wraz z Prokopiakiem kilku odważniejszych chłopaków weszło za nim do gabinetu, żeby dopilnować, by naprawdę zadzwonił do władz najwyższych w Warszawie. Po rozmowie podszedł do okna i zapewnił zgromadzonych, że władze (nie wymieniał nazwisk) obiecały, że do trzynastej trzydzieści oddzwonią z Komitetu Centralnego i poinformują, jaką podjęto decyzję. Napięcie opadło, ludzie usiedli na murawie wokół budynku, rozmawiając spokojnie i cierpliwie czekając nawet dłużej o pół godziny, bo społeczeństwo było wyćwiczone w codziennym czekaniu na wszystko. Kiedy jednak do czternastej nikt nie ukazał się w oknie, poczuli się zdradzeni i wpadli do środka gmachu, żeby szukać I sekretarza. Nie znaleziono go, bo już został wyprowadzony na zewnątrz. Uciekł jak wstrętny szczur, dolewając benzyny do ludzkiego gniewu, i dlatego doszło do podpalenia Komitetu. Gdyby miał jaja, okazał się mężczyzną i rozmawiał z ludźmi szczerze, na pewno nie doszłoby do podpalenia. Ja nigdy bym nie podał ręki takiemu człowiekowi. Widnieje na mojej czarnej liście i koniec. Koniec, koniec, koniec.

Nagle nad Komitet nadciągnęły helikoptery. Spadam stąd, w mojej głowie zadziałał system alarmowy i zacząłem się przedzierać przez gęsty tłum w stronę Słowackiego. Za kilka dni wyjeżdżałem, powinni i beze mnie wywalczyć co trzeba, czyli odwołanie podwyżek. Na razie o czymś więcej się nie marzyło, chociaż większość ludzi gardziła komuną, po cichu życząc sobie i bliskim, żeby ten system zdechł jak najszybciej, ale myślano wówczas, że nie zdechnie przed zdechnięciem u Ruskich, bo cóż mógł zdziałać niewolnik z gołymi rękami? Chociaż jednak coś zaczęło się zmieniać. Co? Trudno powiedzieć. Jakby trochę się bać zaczęli, leciutko miękli, nawet taki niby drobiazg: widziałem pełno milicjantów po cywilnemu i nie po cywilnemu, przyglądali się demonstracji i nie interweniowali, ogarnięci jakby paraliżem, nie do pomyślenia wcześniej. Nie chciałem narażać osobistego szczęścia, które pomimo młodego wieku udało mi się stworzyć, a właściwie stworzyło się samo, bo ze szkolnej miłości przyszedł na świat Louis Paul. Takie cudzoziemsko brzmiące i piszące się imiona wybrała Maryla wraz ze starszą siostrą, która mieszkała od kilku lat we Francji i została matką chrzestną naszego synka. A co najdziwniejsze, urzędnicy wyrazili zgodę, by wpisać te francuskie imiona do metryki urodzin obywatela polskiego urodzonego w Radomiu w 1973 roku.

I jakby tymi imionami został przypieczętowany los Louisa Paula; po latach skończył studia we Francji, obecnie jest wziętym adwokatem w Strasburgu.

Kiedy okazało się, że Maryla jest w ciąży, nie stało się to żadnym życiowym dramatem, bo w tym naszym szczeniackim szczęściu mieliśmy dodatkowe szczęście – mądrość dorosłych, którzy nas otaczali. Nikt jej nie potępił, wszyscy pomagali – jej rodzice, moja matka (ojciec już nie żył, bo również obdarowałby ją ciepłym słowem), wychowawczyni w szkole, koleżanki, dyrektorka szkoły. W tamtych czasach w takiej sytuacji zwykle wyrzucano uczennicę ze szkoły, a ją wychowawczyni przekonała, by nie opuszczała zajęć, dopóki jest w ciąży, i ukończyła pierwszą klasę liceum. To było liceum im. Marii Konopnickiej. I tak się stało. A gdy Louis miał kilka miesięcy, zajęła się nim teściowa, żeby mogła kontynuować naukę w liceum zaocznym, gdzie i ja zacząłem uczęszczać po ukończeniu szkoły budowlanej z wyuczonym zawodem elektromontera, i razem chodziliśmy na zajęcia, razem odrabialiśmy lekcje.

Ja miałem jeszcze dodatkowe zajęcie, od dziecka ciągnęło mnie do sportu, a moją największą pasją stał się boks. Zacząłem trenować dzięki koledze z sąsiedztwa Bogusiowi Gutkowskiemu, z którym po raz pierwszy wybrałem się do hali Broni na Narutowicza. Miałem wówczas czternaście, może piętnaście lat. Trafiłem na świetnego nauczyciela Kazimierza Budlusa – boksera wagi lekkiej. On mnie nauczył, czym jest boks i wpoił zasady, których się trzymam przez całe życie. Wcześnie straciłem ojca, mama, jak to mama, była zbyt pobłażliwa, za dużo dawała mi swobody. Ten pierwszy trener zaszczepił mi samodyscyplinę, punktualność, nauczył techniki. Sport hartuje, kształtuje charakter. To były piękne czasy dla boksu: Kazimierz Paździor, złoty medal na igrzyskach olimpijskich w Rzymie – pracował i trenował w tym samym klubie Broni co ja, ale wcześniej oczywiście. Podziwiałem Zbigniewa Pietrzykowskiego, który w 1960 roku na olimpiadzie o mały włos nie pokonał Cassiusa Claya. I jeszcze Marian Kasprzyk, który zdobył brązowy medal na olimpiadzie w Rzymie, a złoto w Tokio. Takich miałem mistrzów, im chciałem dorównać, marzyłem, żeby wejść do pierwszej ligi, pojechać na olimpiadę, zdobyć złoto. Moi trenerzy widzieli we mnie talent i przepowiadali wielką przyszłość, i moje marzenia wcale nie były takie bez danej racji, jak mawiała mama, która marzenia dzieliła na „bez danej racji" i na „nie bez danej racji". Boksowałem też pod okiem świetnego technika Henryka Kozioła, który powiadał, że praca nóg to podstawa: „nogi, nogi, nogi chłopcze". Spośród innych zawodników wyróżniało mnie wyjątkowo mocne uderzenie. Już miałem pewne sukcesy – zdobyłem mistrzostwo okręgu kieleckiego, zostałem przyjęty do kadry polskiej juniorów i brałem udział w turniejach. Za jedną walkę otrzymywałem dwanaście złotych pięćdziesiąt groszy – wtedy czekolada wedlowska kosztowała dziewiętnaście złotych. To były czasy, że nie liczyła się kasa, lecz sport, rywalizacja, radość ze zwycięstwa. Pracowałem, uczyłem się, trenowałem wytrwale, narzuciłem sobie ostrą dyscyplinę, bo miałem cel, chciało się żyć.

– Żebyś kłopotów sobie nie narobił – powiedziała zafrasowana teściowa, gdy po kilku minutach wpadłem do domu i opowiadałem podekscytowany, co się dzieje na mieście.

– Jakich kłopotów. To oni mają kłopoty. Ze strachu robią w gacie.

Przez okienko na strychu wyszliśmy ze szwagrem na dach. Na dachach wszystkich domów stali ludzie. Dobrze było widać wzbijający się dym nad Komitetem. Co wtedy pomyślałem? Konkretnie jakie myśli? Różne, a wszystkie radosne. Coś jeszcze? Duma. Duma z ludzi radomskich.

Wieczorem przyszło kilku znajomych, by wymienić się wrażeniami z tego niezwykłego dnia. Ktoś przyniósł pół litra. Nawet z tak niezwykłej przyczyny nie wychyliłem ani jednego kieliszka. Jako sportowiec nie piłem i nie paliłem, i zresztą nikt mnie nie namawiał. Każdy po kolei relacjonował migawki z dnia chwały.

– Idę, patrzę i się zachwycam – zaczął Boguś. – Czegoś takiego nigdy w życiu żeście nie widzieli. Z Merino przy Wałowej chłopaki wynieśli bele tkanin i pach – rozwinęli środkiem po ulicach i mieniło się na żółto, zielono, bordowo, niebiesko. Jeszcze nigdy w Radomiu nie było tyle piękna. – Idę, a pod antykwariatem leży książka, no to ja ją pod pazuchę. Do żadnego sklepu bym nie wszedł, żeby kraść, czy tak wziąć ze zwykłej sprawiedliwości. W domu patrzę – drugi tom *Chłopów*. Matka mówi: wracaj po pierwszy. Żartem tak.

– A mnie mało co nie złapali z Grzesiem – powiedział Rysiek. Pracował w zakładach Waltera, ale jako umysłowego zamknięto go wraz z innymi na klucz, kierownik siedział na krześle przy drzwiach i nie było co marzyć, żeby ruszyć razem z fizycznymi na protest. – Nie chcieliśmy używać siły, żeby kierownika poturbować i odsunąć, bo w sumie to porządny chłop. O zwykłej godzinie nas wypuścili do domu. Po południu zabrałem synka, żeby pokazać mu historię. Wyszliśmy na Żeromskiego, idziemy, idziemy, gryzie gaz w oczy, ale idziemy. Szkła pełno, ludzi dużo jeszcze, takich bardziej gapiów, ciekawskich. Przystanęliśmy przed sklepem muzycznym naprzeciwko placu Konstytucji, szyba wystawowa wybita, z wystawy gitary, saksofony poznikały. Codziennie tamtędy przechodzę i od razu spostrzegłem, czego brakuje. W środku jakiś chłopak siedział przy pianinie i grał, koncert z radości grał dla ludzi, co się przed sklepem zgromadzili. My też postaliśmy, żeby posłuchać, ale Grzesiowi oczy już zaczęły łzawić, więc zawróciłem do domu, patrzę, a z Witolda maszeruje kolumna ZOMO w hełmach, z tarczami, z pałami i walą rytmicznie tak jakoś strasznie w te tarcze. Zawróciliśmy i biegiem do tego sklepu muzycznego, żeby ostrzec pianistę: „Hej! Ty! Uciekaj, uciekaj!" – krzyczę. „Cała kompania tu maszeruje!". Chłopak nawet podniósł głowę i spojrzał na mnie, i tylko wzruszył ramionami i grał dalej. Raz jeszcze rozdarłem się: „Zwiewaj kretynie, bo cię pobiją, własna matka cię nie pozna!". Musiałem biec z Grześkiem przed siebie, obejrzałem się, a już pierwszy szereg zomowców skręcał z Witolda w Żeromskiego, a my chodu do bramy przejściowej i drugą bramą na Kelles-Krauza.

Kolega szwagra widział milicjanta po cywilnemu, jak wywalił cegłą witrynę sklepu z alkoholem na rogu Słowackiego i 1 Maja, a potem stał z boku i obserwował. Jedni przechodzili, patrzyli, szli dalej, inni korzystali z okazji i wynosili całe skrzynki wódki.

Taka myśl przeleciała mi nie wiadomo skąd przez głowę, żeby zgarnąć do walizki co najpotrzebniejsze, zadzwonić po taryfę, zabrać żonę i synka, pojechać na dworzec, wsiąść w pierwszy pociąg do Warszawy, a z Warszawy poczekać na jakieś połączenie do Słupska, niechby nawet z dziesięcioma przesiadkami. Niestety, takie myśli pojawiające się nie wiadomo skąd lekceważymy, śmiejemy się z nich jako z niedorzecznych, a trzeba je szanować, bo bywa, że są dużo więcej wiedzące od nas samych. I ta myśl należała właśnie do takich.

Wpadł sąsiad i od progu woła, wiecie chłopaki, że Płock i Ursus strajkują? Z tej przyczyny teść poszedł do spiżarni po butelkę orzechówki, którą osobiście zrobił z własnych orzechów i trzymał na imieniny. Mimo że miałem z samego rana trening, wypiłem kieliszek za braci z Ursusa i Płocka.

Na drugi dzień rano, zanim wyskoczyłem z pościeli, przeżyłem raz jeszcze dzień wczorajszy – od poranka do nocy, a później w swoim rytmie udałem się do hali Broni – wciąż trenowałem, mimo że mnie zawieszono w prawach zawodnika, po tym jak się dowie-

dziano, że przechodzę do klubu w Słupsku. Umożliwił mi to w tajemnicy mój świetny trener i porządny człowiek – Henryk Kozioł. Wiedział, że bez treningu sportowiec szybko traci formę, staje się kapciem. Walczyłem właśnie pod jego okiem, kiedy przyleciał zziajany Marian Głowacki – chłopak z sąsiedztwa.

– Szukają cię.

– Kto?

– Myślisz, że się przedstawiali? Przyjechali w dwie czarne wołgi i najpierw wpadli do ciebie, a potem po sąsiadach: gdzie ten bandyta, znaczy ty. Rozpytują.

– Co? To jakaś pomyłka. – Spokojnie wziąłem prysznic, a wychodząc, zapowiedziałem trenerowi, że jutro stawię się o tej samej porze.

Gdy wracałem do domu, po raz drugi myśl mi przez głowę przeleciała, żeby szybko się spakować i wyjechać z rodziną. Niech sobie szukają. I znowu nie posłuchałem. W domu wszyscy zdenerwowani.

– Szukali cię. Kazali ci się zgłosić do prokuratury, żebyś wyjaśnienia złożył. Że do ciebie nic nie mają, tylko wyjaśnienia jakieś chcą.

– Trzeba iść. Nie mam nic do ukrycia.

Zachowałem się poważnie i udałem się na rozmowę do prokuratury z Marylą i jej bratem. Róg Żeromskiego i Focha.

W gabinecie siedziało dwóch panów w garniturach. Bardzo uprzejmi, grzeczni, ale dziwne pytania zadawali. Mocno głupkowate.

– Czy sklepy są potrzebne?

– Pewnie, że potrzebne. A jeszcze lepiej byłoby, żeby coś było w tych sklepach.

– A gdzie pan kupił te spodnie? – wskazał na dżinsy z Odry.

– W domu towarowym Junior.

– A buty?

– W obuwniczym na Traugutta.

Jeden z tych mężczyzn zapisywał te dziwne pytania i dziwne odpowiedzi, a drugi mnie uspokajał, że wszystko jest w porządku, nic do mnie nie mają, ale muszę się przejść na komendę, tam podpiszę zeznania i wrócę do domu. Trochę się zdziwiłem, bo przecież tu mógłbym to zrobić, ale widocznie takie były bezsensowne procedury. Ja z żoną i szwagrem szliśmy pierwsi, a ci dwaj za nami. Komenda mieściła się przy Kilińskiego, około 500–700 metrów dalej. Rozmawialiśmy, pamiętam, w żartobliwym tonie, to był piękny, słoneczny dzień. Kiedy doszliśmy do drzwi komendy, jeden z prokuratorów wpuścił mnie przed siebie, a do Maryli i szwagra powiedział „stop" i gestem pokazał, by się wynosili. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, zobaczyłem piekło. Na posadzce w plamach krwi leżeli pobici, jęczący ludzie i przez moment stałem osłupiały, aż jakiś milicjant popchnął mnie w kierunku biurka i kazał podpisać podsuniętą kartkę. Czytam – nakaz zatrzymania.

– Ja tego nie podpiszę! – Odłożyłem długopis. Sam sobie miałbym nakazywać, by zostać zatrzymanym? Wariaci.

Wtedy się zaczęło. Bito mnie długimi pałkami wypełnionymi przy końcówkach ołowiem, a gdy upadłem, kopano w rytm: ty bandyto, ty psie, ty warchole, a następnie przesuwano kopniakami w stronę schodów, które prowadziły na tzw. dołek, gdzie mieściła się cela dla zatrzymanych. Po obydwu stronach stali oprawcy z pałami i każdy chciał sobie uderzyć. W celi przeznaczonej dla dwóch, trzech może osób, przebywało piętnastu do dwudziestu młodych mężczyzn. Oni byli katowani już drugi dzień. Uwięzieni na pokrwawionych plecach i głowach kładli sobie nawzajem zimne okłady z kawałków mokrych ręczników. Wielu miało rany na głowie, bo milicjanci wyrzynali włosy scyzorykami i zdarzało się, że wraz z kawałkami skóry. Mieliśmy spać na materacach przyciśnięci jeden do drugiego, ale co jakiś czas robiono nam pobudkę i wzywano na górę, na przesłuchanie. Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy.

– Idziemy, idziemy – wrzeszczeli i znowu bili, wyprowadzając nas z celi. Naprawdę byli wściekli. Od niektórych czuć było alkohol. Żeby tak działała wódka? Na wszystkich? Przecież niektórzy po wódce są rozluźnieni, weseli, łagodni. Takich nie było. Same rozwścieczone bestie. Kazano nam po kolei stawać przy skrzynkach z wódką na tle ściany i robiono zdjęcia.

Najgorsze, że nie miałem pojęcia, co ode mnie chcieli, o co byłem oskarżony. Idąc na kolejne przesłuchanie, widziałem na korytarzu kobiety w różnym wieku obnażone do pasa, z sinymi pręgami, płaczące.

Domagałem się widzenia z prokuratorem, pragnąłem mu wszystko opowiedzieć minuta po minucie, co robiłem 25 czerwca na Żeromskiego i pod Komitetem na 1 Maja. Wydawało mi się, że jako człowiek wykształcony, na pewnym poziomie, zrozumie, że zaszło nieporozumienie, bo ci na komendzie zachowywali się jak oszalałe zbiry pragnące jednego: bić, kopać, wybijać zęby.

Nareszcie się doczekałem. Na drugi dzień miałem wyznaczone spotkanie z prokuratorem i odetchnąłem z ulgą, że zostanie wyjaśnione całe to nieporozumienie i ten człowiek uratuje mnie, ale gdy esbek otworzył drzwi i usłyszałem z głębi pokoju: „Dawać tego bandytę", zacząłem podejrzewać, że ten elegancki urzędnik państwowy również jest zbirem. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że znalazłem się tu przez jakąś koszmarną pomyłkę, jednak prokurator wcale nie był ciekaw, jak spędziłem 25 czerwca.

– Ty bandziorze – usłyszałem. – Dostajesz wyrok jednego miesiąca aresztu za udział w demonstracji.

Wyprowadzono mnie, a tam już na mnie czekano. Zacząłem się bronić. W sportowcu siedzi sport, siła, i działa odruchowo. Zawodowy bokser nie jest w stanie biernie znosić uderzeń, ma wpojone: ktoś uderza – oddaj, nie daj się, zasłoń, atakuj. Nie wiedziałem, czy bardziej sobie szkodzę, czy ratuję, bo ich było kilku. Z pałami i w buciorach podkutych, dobrych do kopania, a ja sam z gołymi pięściami i w sandałach. Nagle zauważyłem Mariana Cebulę, który bywał u mojego szwagra w domu. Nawet kilka dni wcześniej widziałem, jak pili wódkę w stołowym. Szwagier prowadził prywatny zakład, a za komuny tak zwana prywatna inicjatywa, żeby w ogóle funkcjonować, mu-

siała wszystkim dawać łapówki, mieć wszędzie znajomości, układy, stawiać wódkę tym z urzędu skarbowego, milicjantom i esbekom. Zdesperowany zwróciłem się do niego, żeby mi pomógł, żeby powstrzymał tych oprychów, a on otworzył jakieś drzwi na korytarzu i chciał po prostu uciec. To zachowanie tak mnie oburzyło, że przytrzymałem drzwi i tłukłem nimi tego szczura o ścianę za każdym razem, gdy dostawałem razy od milicjantów pałą w plecy i kopa podkutym butem poniżej pasa.

– Ty wszo, ty mendo, zatłukę, rozgniotę – krzyczałem, dopóki milicjantom nie udało się mnie oderwać. Długo jednak nie mogli sobie poradzić i przez chwilę poczułem się dumny.

Popchnęli mnie w stronę schodów, żebym zszedł do celi na tak zwany dołek. Spojrzałem w dół, a na schodach przez dwa piętra, tak samo jak na korytarzu, czekali milicjanci i zomowcy z pałami, na co drugim, trzecim stopniu. Ogarnęło mnie przemożne przeświadczenie, że nie przeżyję już tego bicia i w jednej sekundzie podjąłem decyzję. Zanim ktoś się zorientował, co mam zamiar zrobić, przeskoczyłem balustradę i poleciałem w dół. Nie chciałem się zabić, po prostu zapamiętałem, że pomiędzy parterem a schodami do piwnicy rozciągnięto metalową siatkę. Spadłem na nią, a siła uderzenia spowodowała, że się odbiłem i przeturlałem na cementową posadzkę. Natychmiast mnie dopadli ci, co czekali na dole i zaczęli okładać pałami po nerkach, kręgosłupie, po głowie, a gdy upadłem, mocno kopali. Poderwałem się i wtedy nastąpił moment pozytywny. Uratował mnie znajomy milicjant Węglicki – mieszkał przy poczcie na Słowackiego i pracował jako klawisz w areszcie na komendzie – po prostu złapał mnie za fraki i wciągnął do celi.

Już nie żyje, a szkoda, bo chciałbym mu powiedzieć, że czułem i wciąż czuję do niego wielką wdzięczność, możliwe, że uratował mi życie i chciałbym mu podziękować, niestety, już jest za późno.

Modliliśmy się, żeby jak najszybciej zabrano nas do więzienia. Tu nie dało się spać, wciąż zabierano nas na przesłuchania, a po drodze czekała ścieżka zdrowia.

Wreszcie po trzech dniach i nocach nadszedł ten dzień. Skuto nam ręce wykręcone do tyłu i wyprowadzano do samochodu, który więźniowie nazywali lodówką – to była wielka metalowa paka bez okien. Zajechali pod więzienie, ale nie od Malczewskiego, tam gdzie było główne wejście, lecz od strony dziedzińca. Gdy otworzono lodówkę, nikt nie rwał się, by wyskoczyć na plac, bowiem ujrzeliśmy przed sobą znowu nasz koszmar – ścieżkę zdrowia obsadzoną zomowcami. Czekali na nas z długimi pałami, z uśmiechem na ustach, w lekkim rozkroku, prawe kolano w lekkim ugięciu. Wszyscy musieli przejść przez tę ścieżkę. Nie można było zasłonić głowy przed uderzeniem, bo ręce skuto nam na plecach, nie można było zbyt szybko biec, by uniknąć chociaż jednego uderzenia, ponieważ pokrzywdzony zomowiec wołał: jeszcze ja! I wówczas więźnia zawracano, i musiał raz jeszcze przebiec tę samą drogę i z powrotem, i każdy mógł sobie uderzyć jeszcze dwa razy.

Tu warunki „mieszkaniowe" okazały się o wiele lepsze aniżeli na komendzie. Umieszczono mnie w celi z wielkim, niemal dwumetrowym Zygmuntem Zabrowskim. Okazało się, że nie jest nowicjuszem, znał wszystkich klawiszy. Na początku obawiałem się go, uważałem, że taki współwięzień może być dodatkową opresją. Tymczasem okazało się, że Zygmunt wcale nie jest żadnym poważnym przestępcą, pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania Miasta, zatrzymywano go za jakieś drobne przewinienia, często wyimaginowane, po prostu miał uczulenie na socjalizm i milicję, a że nie potrafił zachować dyskrecji, wręcz przeciwnie, mieli go na oku. Wcale mnie nie gnębił, raczej chronił, bo duszę miał przyzwoitego człowieka. Nastąpiło uspokojenie, a ono przyniosło ocenę sytuacji. Po raz pierwszy poczułem, że świat mi się zawalił. Akurat w momencie, gdy miałem wyjechać, urządzić się w nowym mieście, ćwiczyć boks w nowym klubie. Przecież byłem w kadrze narodowej polskich juniorów. W Słupsku obiecano mi trzykrotnie większą pensję, po upływie roku mieszkanie, czterdzieści tysięcy na zagospodarowanie i samochód. Nie mogłem sobie darować, ale nie tego, że brałem udział w demonstracji, że jeździłem po zakładach, zachęcając ludzi do wyjścia na ulicę. Żałowałem, że nie posłuchałem swojej intuicji, która mi podpowiadała, żeby spakować się błyskawicznie, zabrać rodzinę i jechać w stronę Słupska. Szukaliby mnie i nie znaleźli i wtedy machnęliby ręką na jakiegoś Stacha Kowalskiego. Na jego miejsce dorwaliby innego, który nie miałby tyle do stracenia co ja. Zorientowałem się, że im chodzi o ilość. O sztuki, a nie o winnych. Fatalnie znosiłem bicie. Gdyby to byli wrogowie, wojna, Niemcy czy Ruscy, może bym tak nie przeżywał tego poniżenia. Rozpamiętywałem opowieści ojca o kolejnych pobytach w obozach koncentracyjnych. Wiedziałem, że moja sytuacja z tamtą jest nieporównywalna, ale gorsza w jednym: że oprawcami byli swoi. Za każdym razem, gdy o tym pomyślę, łzy napływają mi do oczu, a minęło już czterdzieści lat.

– Ty głupi jesteś, Kajtek. – Zygmunt nadał mi takie imię, zapewne ze względu na dużą różnicę wzrostu między nami. – Młody i głupi. Jacy Polacy? Oni nie tylko ciebie by sprzedali dla paru złotych, ale i własną matkę. Zawsze takie ścierwa były w narodzie, są i będą – tłumaczył mi.

Może w zbyt krótkim czasie zderzyłem się z takim ogromem zła. Byłem załamany. Może zbyt szybko musiałem sobie poprzestawiać w głowie. Do tej pory myślałem, że ludzie są z gruntu dobrzy. Owszem, wiedziałem, że zdarzają się różne kreatury, zwyrodnialcy, ale sądziłem, że są to rzadkie przypadki i dobro ma dużą przewagę. I nagle dotarło do mnie, jak okropnie się myliłem. Okazało się, że dobro leży znokautowane na deskach, a nad nim stoi uśmiechnięte zło. I pewnej bezsennej nocy wstałem cicho jak kot, podarłem ścierkę, powiązałem w sznur i powiesiłem się na kracie. Gdybym przebywał w celi sam, próba samobójcza powiodłaby się, ale akurat Zygmunt obudził się i mnie odratował.

Po kilku dniach zabierano ludzi na strzyżenie. Zapewne dlatego, że wielu powycinano nożem włosy i to źle wyglądało, tym bardziej że na połowie głowy. A wkrótce miały zacząć się procesy i mogli przyplątać się jacyś wywrotowi dziennikarze.

– My się nie damy – oznajmił Zygmunt. – Nie pozwolę, żeby nas ostrzygli na zero.

– W jaki sposób?

– Zobaczysz. Przyjdą po nas, to ci pokażę.

– Wychodzimy do fryzjerni! – Klawisz stał w drzwiach, drugi wszedł, żeby założyć nam kajdanki.

W tym momencie Zygmunt skoczył do okna, wybił łokciem szybę tak umiejętnie, że trzymał w ręku dwa szklane sierpy. Jeden podał mnie, a drugi przyłożył sobie do brzucha, a ja za nim.

– Jak nas ruszycie, poślizgniecie się łajzy na naszych bebechach – zagroził Zygmunt. Dali spokój.

Zapisywałem w głowie dwie listy: oprawców i przyzwoitych ludzi. W więzieniu też istniał podział. Obiecałem sobie, że nigdy, przenigdy tej listy nie zapomnę i nie zaznam spokoju, dopóki ci oprawcy nie zostaną ukarani. Obiecałem sobie, że będę głosił do ostatnich dni swojego życia, co czerwona zaraza robiła z czerwcowymi ludźmi w 1976 roku.

Wreszcie prokuratura sporządziła akty oskarżenia i zaczęły się sądowe rozprawy. Zapakowali nas w sześciu do „lodówki" i w obstawie kilku milicyjnych suk, ubeckich limuzyn (najwięcej wołg) podjechaliśmy pod sąd na Piłsudskiego – wówczas Marcelego Nowotki. Wprowadzono nas do dużej sali zwanej „sieczkarnią", przylegającej do sali rozpraw. Czekali tam na wezwanie oskarżeni oraz świadkowie, a wśród nich rozpoznałem kilku milicjantów po cywilnemu. Z mojej strony wezwano na świadków sąsiadów. Później mi opowiadali, że przywieźli ich sukami, a milicjanci instruowali, jak mają prawidłowo zeznawać, bo inaczej pożałują, ale nie dali się zastraszyć. Zgromadzono tam około pięćdziesięciu ludzi. Swoich sąsiadów znałem, było ich chyba sześciu, a kim byli pozostali? Co mieli do powiedzenia sądowi? Z ciekawością czekałem, jakie zarzuty zostaną mi postawione i wkrótce się dowiedziałem.

Przewodniczącą składu sędziowskiego była sędzina Sadowska. Z mojego domu wygarnięto z szafy wszystkie ubrania i zawinięte w koc dostarczono jako dowody kradzieży. Jednak wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że takiej odzieży, w takim gatunku nie uświadczyło się w polskich sklepach. Te ubrania przysyłała z Francji starsza siostra mojej żony Maryli i łatwo to było udowodnić. Oskarżyciel miał inny pomysł – te rzeczy zostały ukradzione w Peweksie. Na szczęście w Peweksie nie zostały wybite witryny i nic stamtąd nie wyniesiono. I to mnie uratowało. Jeden zarzut – złodziejstwa – odpadł. Pozostał drugi, mocno polityczny – udział w demonstracji i zamach na władzę ludową. Zeznawało dwóch milicjantów po cywilnemu. Jeden przyzwoity – Kapciak –zeznał, że mnie widział pod Komitetem, obserwował i szedł za mną, gdy wyszedłem z tłumu i skierowałem swoje kroki na ulicę Słowackiego. Śledził mnie do wiaduktu, a było to, zanim podpalono budynek Komitetu.

Sędzina miała kłopot, ale przyszedł jej z pomocą drugi świadek, Kędzierski – milicjant, a może esbek. Zeznał, że widział mnie pod Komitetem w brązowym garniturze, piłem pepsi, a następnie rzuciłem pustą butelką na sposób chuligański w budynek siedziby Wojewódzkiego Komitetu PZPR. Dla sądu nie miało żadnego znaczenia moje zeznanie, że nigdy nie miałem brązowego garnituru, bo po pierwsze nie lubię brązowego koloru, a po drugie, nawet gdybym miał, to nie założyłbym go w upalny i w dodatku w zwykły dzień.

– Jako sportowiec raczej ubieram się na sportowo. O, tak jak teraz na przykład, wysoki sądzie – przekonywałem, ale sędzina nie dawała wiary moim wyjaśnieniom. Uwierzyła milicjantowi i jego opowieści o brązowym garniturze i zamachowi pustą butelką na socjalistyczny ustrój.

Podczas rozprawy zorientowałem się, że sąd pragnie udowodnić tezę, że w demonstracji nie brała udziału zdrowa klasa robotnicza, popierająca ustrój socjalistyczny, lecz element przestępczy, chuligański i trochę im do tego obrazka nie pasowałem, ale nie aż tak, żeby mnie wypuścić ze swoich łap. Prokurator postawił mi ciężki zarzut z artykułu 275 o próbie obalenia ustroju socjalistycznego i domagał się sześciu lat więzienia.

Najważniejszym świadkiem koronnym, niezwykle pożytecznym dla sądu, był Waldemar Chochołowski, znałem go, ponieważ był bokserem. Wielu ludzi przez niego zostało skazanych. A gdy przyszła moja chwila i prokurator go zapytał, czy rozpoznaje mnie jako prowodyra wydarzeń wymierzonych przeciwko partii i narodowi, zwiesił głowę, nie śmiał mnie fałszywie oskarżyć. I tak okazał się szują, bo wielu ludzi niewinnych zostało przez niego skazanych. Między innymi zeznawał przeciwko niejakiemu Kobyłko, twierdząc, że widział go podczas wypadków czerwcowych z rękami pociętymi szkłem, co miało zaświadczać, że wybijał witryny w sklepach i pewnie kradł. Fałszywie oskarżony Kobyłko zaczął krzyczeć: „Ty łachudro, gdzie ręce pocięte! No gdzie?!". Wyciągnął przed siebie ramiona i obracał, żeby sędzina i prokurator mogli zobaczyć, że ma gładkie ciało, bez żadnych śladów, bez blizn. Przecież w ciągu miesiąca nie mogły się zupełnie zabliźnić ślady po cięciu szkłem. Niestety, żadne argumenty nie docierały do sędziny.

Kiedy już się znalazłem się na ścieżce zdrowia, w krótkim czasie poznałem mnóstwo ludzi szlachetnych i zwykłe kanalie. I ci, i ci mnie zaskakiwali. Przez kilka miesięcy posiadłem dużą wiedzę o ludzkiej duszy, na pewno większą niż ci, co studiowali przez kilka lat psychologię.

Sąsiedzi pomimo zastraszania ze strony esbeków zeznali, że już około czternastej wróciłem do domu i z dachu wraz z nimi obserwowałem przebieg wydarzeń. Sędzina nie dała im wiary i skazała mnie na trzy lata, tłumacząc się prokuratorowi, dlaczego okazała taką łagodność: do tej pory nie byłem karany, uczyłem się, pracowałem, miałem dobrą opinię. Zapamiętałem jej słowa:

– Sąd Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej daje panu szansę na poprawę i powrót do społeczeństwa socjalistycznego.

Wiedziałem, na czym stoję. Skończyła się niepewność – bałem się, że mnie zatłuką na śmierć lub gdzieś wywiozą w nieznane – po głowie chodziła mi Syberia.

Wstąpił we mnie nowy duch. Czułem dumę, że brałem udział w tych wypadkach, że my, ludzie z Radomia, postawiliśmy się tym komunistycznym siepaczom. Mimo że czekało mnie trzy lata odsiadki, nie żałowałem.

Pod koniec lipca wraz z kilkoma więźniami wieziono mnie przez trzy dni do więzienia w Strzelcach Opolskich. Szybko się okazało, że towarzysze podróży są zwykłymi prze-

stępcami, w tym jeden morderca. W „lodówce" dusiliśmy się z gorąca i ciasnoty. Półprzytomni zajechaliśmy na miejsce. Na dziedziniec wyszedł naczelnik więzienia, żeby nas powitać. Było nas kilku, a on zapytał, który to Stanisław Kowalski, a kiedy wystąpiłem, powitał mnie takimi słowami:

– Po co żeś tu radomski bandyto przyjechał.

– Odsiedzieć wyrok.

– Nie odsiedzisz.

– Dlaczego.

– Bo cię tu wykończymy. Tu wam nikt i nic nie pomoże.

To było ciężkie więzienie dla poważnych przestępców z wieloletnimi wyrokami, dożywociem, a nawet skazanymi na karę śmierci. Siedzieli tam wówczas sławni mordercy z Rzeplina – Zakrzewscy. Ojciec Józef czekał na wykonanie kary śmierci, a syn odsiadywał dwadzieścia pięć lat. Syn miał ksywę „Dyrektor", ponieważ miał ukończoną zaledwie szkołę podstawową, a zatrudniono go w więziennej bibliotece. Później się powiesił.

Takie ciężkie więzienie ma i dobre strony, ponieważ skazani unikają niebezpiecznych tematów, żeby nie załamać się psychicznie. Nie analizują wyroków, nie przypominają codziennie, ile lat trzeba jeszcze spędzić za kratami, nikt nie użala się nad sobą, nie jęczy, że siedzi za niewinność – jest zbrodnia, jest kara. Rozmawia się o zdrowiu i na ogólne o życiu tematy.

Z moim zdrowiem nie było dobrze. Kilka miesięcy czułem ból w mięśniach i kościach po biciu, a do płuc dostała się krew. Za radą doświadczonych więźniów leczyłem się syropem z cebuli.

Miło wspominam pewnego Czecha, którego przewieziono do Strzelec z Czechosłowacji, ponieważ zastrzelił jakiegoś polskiego ubeka. Za udział w podziemnym ruchu oporu został skazany na karę śmierci zamienioną na dożywocie, a następnie na dwadzieścia pięć lat. W Czechosłowacji odsiedział już pięć lat, ale nie chciano ich odliczyć od całego wyroku, miał więc siedzieć trzydzieści lat, a już był starszym człowiekiem i wciąż pisał jakieś bezskuteczne podania, odwołania. Podziwiałem go jako człowieka o kryształowym morale. Wszyscy go szanowali, więźniowie zwracali się do niego „Wujek". Przez wiele lat budował z zapałek skrzypce, a kiedy skończył, jakiś klawisz zrzucił je na podłogę i rozdeptał.

Niektórzy z klawiszy okazali się porządnymi ludźmi, dawali mi do zrozumienia, że są po mojej stronie, że w ogóle wielu ludzi jest po stronie Radomia. Jeden ze strażników przyniósł mi dobrą wiadomość, że mówiono o mnie w Wolnej Europie. Postanowiłem, że będę prowadził pamiętnik. Poprosiłem, żeby mi kupiono zeszyt i starałem się codziennie zapisywać swoje przemyślenia, opisywałem, jak wyglądał więzienny dzień. Inne życie we mnie weszło. Wiele zrozumiałem po tym, co się wydarzyło, dotarło do mnie, czym jest polityka, że trzeba się nią interesować, żeby nie dać zrobić z siebie potulnego idioty.

Miałem czas, myślałem o ojcu, który wiele lat spędził w obozach koncentracyjnych. W czasie okupacji należał do AK. Pracował w straży pożarnej w Radomiu i tam była taka komórka podziemnego ruchu oporu, do której należał ojciec.

– Wie pani, gdzie na starym cmentarzu, na Limanowskiego, jest grób zbiorowy strażaków, taki z czerwonej cegły?

– Wiem, przechodzę tą alejką, gdy idę na grób swoich rodziców.

– Tam leży trzydziestu strażaków, kolegów ojca, którzy zginęli za akcję na Niemców z 6 lipca 1944 – dwóch zabito, a jednego raniono. Następnego dnia rozstrzelali schwytanych strażaków pod murem cmentarza. Dopóki ojciec nie wrócił z obozu, mama była przekonana, że on również został rozstrzelany, że jest wdową.

– Panie Stanisławie, wracajmy do więzienia, do Strzelec Opolskich.

Ja właśnie opowiadam, o czym myślałem w więzieniu. Przyjechała w odwiedziny mama ze starszym bratem Zygmuntem, ucieszyłem się i trochę zmartwiłem, że nie z Marylą. W następnej chwili pojąłem, że stało się coś złego, bo mama zaczęła płakać, ale nie na mój widok; ten płacz przywiozła z Radomia. Brat przekazał mi okropną wiadomość – Maryla wystąpiła o rozwód, chciała wyjechać do siostry do Francji i zacząć nowe życie, nie miała zamiaru czekać trzy lata.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem o Komitecie Obrony Robotników, ponieważ przychodzili do mamy, oferowali pomoc. Proponowali do obrony adwokata, ale podziękowałem. Postanowiłem trzymać się jednego – mecenasa Suwały, który od początku prowadził moją sprawę i miałem do niego zaufanie. Czuło się w powietrzu, że idzie zmiana.

Otworzyła się cela:

– Kowalski Stanisław syn Stanisława, szykuj się, wychodzisz.

Sąd Najwyższy raczył zamienić mi trzy lata na pięć w zawieszeniu.

W styczniu 1977 roku wsiadłem do pociągu w letnim ubraniu, ogolony na łyso. Wtedy nikt dobrowolnie tak się nie oszpecał, od razu wszyscy wiedzieli, że ktoś taki musiał opuścić więzienie. W pociągu panował tłok okropny, ale wystarczyło jedno słowo w odpowiedzi na czyjeś pytanie „Za co?". „Radom". Natychmiast zostałem otoczony opieką, wielka się zrobiła w całym pociągu solidarność, wszyscy chcieli mi pomagać, zaraz znalazło się miejsce, mogłem się nawet przespać, częstowali kanapkami, w Katowicach ktoś pobiegł i kupił mi ciepłą kurtkę, prawie do kolan, widocznie tylko takie były. Polacy czuli radomski czerwiec, byli wdzięczni.

Powrót w inny czas, w inne miejsce nie był radosny. Nie miałem już żony, dziecka ani pracy. A ponieważ odebrano mi zdrowie, straciłem również swoją pasję – boks. Do tego doszedł wstyd, że znalazłem się na utrzymaniu matki, więc zacząłem jej pomagać. Zawsze zajmowała się handlem, nauczyła się go mimo woli podczas okupacji, gdy męża wywieziono do obozu koncentracyjnego. Została sama z małym Zygmusiem. Przez dwa lata była poszukiwana przez gestapo, nie mogła mieszkać w swoim domu, ukrywała się z dzieckiem po wsiach wokół Radomia. Dobrzy ludzie pomogli jej przeżyć. Wtedy nauczyła się handlu, a nawiązane znajomości przydały się zaraz po wyzwoleniu: jeździła do swoich znajomych po jajka, śmietanę, sery, masło, mięso. Gdy tata wrócił – ważył trzydzieści sześć kilo (i to po dziewięciomiesięcznym pobycie w amerykańskim szpitalu, bo chorował na tyfus), więc ile ważył, gdy został wyzwolony obóz w Dachau? Da-

chau, bo tam go przewieźli z Gross-Rosen. Mama musiała go najpierw odżywić, a i tak długo jako „bandyta" nie mógł znaleźć pracy. Gdy przyjęto go do Zakładów Metalowych, po tygodniu został wyrzucony, bo dowiedziano się o jego przeszłości. Dopiero po dwóch latach zatrudniono go w Zakładach Drzewnych, gdzie przepracował całe życie, bo zmarł w wieku sześćdziesięciu czterech lat.

Od schyłku lat sześćdziesiątych matka zajęła się handlem kwiatami i została kwiaciarką. Miała swoje stoisko pod parasolem na placu Konstytucji przy basenie. Moja pomoc polegała na wyjazdach na giełdę do Warszawy i przywożeniu świeżych kwiatów. I tak przy mamie nauczyłem się życiowej zaradności, która zapewniała zadowalający status materialny. Ojciec zaś wpoił mi patriotyzm, który zapewnił bicie i prześladowanie.

Czas od 26 czerwca 1976 roku do lata 1981 roku uważam za najbardziej ponury w swoim życiu. Co prawda w 1979 roku znalazłem stałą pracę na etacie montera anten telewizyjnych, ale czułem się rozbity, smutny, złamany. Odwiedzali mnie ci z KOR-u, oferując pomoc, ale finansowego wsparcia odmówiłem, radziłem sobie, wiedziałem, że są bardziej potrzebujący. Przychodzili też esbecy, podszywając się pod korowców. Na to też się znalazł sposób – jeden korowiec przedarł na pół kartkę i podał mi jedną część.

– Nigdy nie rozmawiaj z nikim, jeśli nie pokaże ci tej połówki, która musi idealnie pasować do twojej. – Ten prosty sposób pozwolił uniknąć niebezpiecznych rozmów.

Szybko uświadomiono mi, że moja sprawa zakończyła się tylko formalnie, tak dla picu. Wciąż byłem do odstrzału. To nie jest tak, że prześladowania skończyły się po tym, jak opuściłem więzienie, ani nawet po sprawie uniewinniającej. Wciąż na mnie polowano. Wzywali na rozmowy na komendę, namawiali do współpracy, podsuwali do podpisu papier. A gdy nie chciałem się zgodzić, wyzywali i straszyli. Czułem się, jakby wydali na mnie wyrok i dawali do zrozumienia, że tak właśnie jest. Jak wygląda polowanie w mieście na zaszczute zwierzę? Nie przychodzili po mnie do domu – łapali na mieście. Na przykład szedłem ulicą ze znajomymi lub sam, zatrzymywała się przy krawężniku suka, wyskakiwał milicjant, skuwał ręce i mówił: „wypierdalaj na komendę". Często też zgarniali mnie z przystanku autobusowego. No więc musiałem iść i traciłem mnóstwo czasu, bo nieraz bardzo długo czekałem na korytarzu, a gdy wreszcie pojawił się jakiś milicjant, żeby mnie rozkuć, najczęściej był pijany. Takich bałem się najbardziej, bo zdarzało się, że chcieli się zabawić. Zapamiętałem jednego, który lubił straszyć pistoletem – wyjmował magazynek, przystawiał mi lufę do głowy i naciskał spust. „No co? Boisz się, boisz, ty bandyto?" – pytał ubawiony. Teraz wiem, jak niebezpieczna to była zabawa, ponieważ mógł zostać jeden nabój w komorze i zostałbym zastrzelony. Nawet nie postrzelony, bo ten imbecyl przykładał mi pistolet do skroni. Czuł, że ma przyzwolenie na wszystko, nawet gdyby mnie zabił, nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności.

Pewnego razu, w listopadzie, około godziny dwudziestej drugiej stałem z kilkoma kolegami w pobliżu kina Odeon na Glinicach, gdy podjechała nyska. Wyskoczyło dwóch milicjantów i od razu w moją stronę, więc zacząłem uciekać, świstały kule. Po raz pierwszy do

mnie strzelali naprawdę. Dopadłem do magazynów meblowych przy ulicy Żeromskiego, chciałem po piorunochronie wspiąć się na dach, już byłem blisko i nagle urwał mi się film.

Obudziłem się przemarznięty i obolały o wpół do piątej rano, coś mnie uwierało w kręgosłup. Usiadłem i zorientowałem się, że jestem na torach. Poderwałem się i zacząłem uciekać. Miałem na sobie inną kurtkę, w kieszeni były jakieś klucze. Przebrali mnie, żeby po znalezieniu ciało uważano za NN. Miał mnie przejechać pociąg, ale nie sprawdzili porządnie rozkładu jazdy. Partacze. Później doszedłem sam, że jechały pociągi, ale na torach obok. Jakaś wyższa siła nade mną czuwała.

W ten sposób zamordowali Zygmunta Zabrowskiego – tego samego, z którym siedziałem w jednej celi w Radomiu i który uratował mi życie. Upozorowali, że po pijanemu wypadł z pociągu.

Wreszcie zaświeciło dla mnie słońce latem 1981 roku. Poznałem Bożenkę. Pamiętam ten dzień. Przechodząc ulicą Nowotki (obecnie Piłsudskiego), wstąpiłem do kuzynki, która pracowała w małym zakładzie kuśnierskim. I tam za biurkiem zobaczyłem ją po raz pierwszy. Paliła papierosa.

– Dziecko, rzuć tego papierosa! – Takie były moje pierwsze słowa. Bardzo mi się spodobała, zaczęliśmy się spotykać i przekonałem się, że jest nie tylko urodziwą dziewczyną, ale również rozsądną i mądrą. Pochodziła z dobrego domu, gdzie wpojono jej najważniejsze zasady, miała dobrze poukładane w głowie i mogłem na niej polegać w każdej sytuacji. Żałowałem, że to nie ona była na miejscu tej pierwszej, na pewno by mnie nie zawiodła. Najważniejsze, że w ogóle spotkałem ją na swojej drodze. W 1982 roku wzięliśmy ślub – cichy, ale w jednej sprawie głośny. Jej ojciec – bardzo porządny człowiek, który po stracie żony w wypadku samochodowym sam wychowywał dwie córki – niezbyt przychylnym okiem na mnie spoglądał. Nie dziwiłem się i nie miałem tego za złe – doniesiono mu, że jestem czerwcowym człowiekiem i wciąż na celowniku esbecji. Który ojciec chciałby, aby jego córka dzieliła los człowieka ściganego. Bożenka zadecydowała o mojej i swojej przyszłości. Wszystko robiłem, żeby nie żałowała tej decyzji, a właściwie nie robiłem nic szczególnego, po prostu kochałem, a ona okazała się prawdziwym przyjacielem, moim dobrym duchem. Możliwe, że uratowała mi życie, ponieważ polowanie wciąż trwało – łapanka na ulicy, zakuwanie, „wypierdalaj na komendę", rozkuwanie, i tak w kółko.

Ile razy? Niech pani liczy. Od 1977 do 1989 to jest dwanaście lat. I przez te dwanaście lat chwytali mnie przynajmniej raz w miesiącu, czasem były dłuższe przerwy, czasem krótsze. Niech sobie pani policzy.

Na początku stanu wojennego ukrywałem się jakiś czas, ale gdy sytuacja się uspokoiła, wróciłem do domu.

Przykład jednej takiej akcji. Jest wiosna roku 1984. Wraz z kolegą – taksówkarzem Robertem, jego dziewczyną i z Bożenką podjechaliśmy pod kawiarnię Jubilatka na osiedlu XV-lecia (teraz jest tam biblioteka), żeby kupić butelkę szampana. Wyskoczyłem na moment z taksówki, kupiłem, wracam, i w tym momencie podjeżdża nyska, wyskakuje z niej

dwóch milicjantów, dopadają mnie, okładają pałami, wykręcają ręce do tyłu i skuwają. Z taksówki wyskakuje Robert, chce mnie bronić, tłumaczy, że przecież nic złego nie zrobiłem, ale on również obrywa, a mnie wciągają do samochodu i zawożą na izbę wytrzeźwień. Dyżurny lekarz odmawia przyjęcia, ponieważ jestem trzeźwy, i wściekli milicjanci wyprowadzają mnie na podwórko kamienicy. Nagle jeden z nich rozrywa mi spodnie i ściąga do kolan, a następnie zaczyna się wściekły atak pałkami. Bili we dwóch, dopóki starczyło im sił. W żaden sposób nie mogłem uniknąć ciosów, ponieważ miałem skute ręce i spętane nogi. W końcu padłem, i milicjant wszedł ponownie do środka, zapewne, by zadzwonić do komendy i złożyć skargę na lekarza, bo po kilku minutach zostaję przyjęty. Zapada okropna noc w cuchnącej izbie z kilkoma pijakami i otwartym oknem. Nie dali mi nawet koca do przykrycia i, dygocząc z zimna, nie zmrużyłem oka. Rano pijacy zostają zwolnieni do domu, a mnie dopiero wieczorem przewieziono skutego na komendę, na tak zwany dołek, gdzie przesiedziałem dwa dni. Bożenka w tym czasie mnie szukała, nikt jej nie chciał udzielić informacji, co się ze mną dzieje. Zostałem oskarżony o czyn chuligański – rozwalenie butelki szampana o bar w kawiarni. Dostałem pół roku pozbawienia wolności, dzięki zeznaniom kelnerki z Jubilatki – jedynego świadka oskarżenia.

W roku 1994 jakaś kobieta podeszła do mnie na ulicy i przedstawiła się: „To ja jestem tą kelnerką z Jubilatki, która oskarżyła pana o rzucenie butelką szampana. Poznaje mnie pan?". Poznałem. „Chciałam pana przeprosić z całego serca. Straszyli mnie, że zostanę wyrzucona z pracy, miałam na utrzymaniu dzieci i żadnego innego dochodu, bałam się. Powiedzieli, że dopilnują, żebym nigdzie nie znalazła pracy". Powiedziałem, żeby zapomniała o tym incydencie, że jej wybaczam.

W roku 1991 lub 1992 miałem coś do załatwienia w wydziale meldunkowym Urzędu Miejskiego, który mieści się obok pałacu ślubów przy ulicy Moniuszki. Kilku petentów czekało na korytarzu, zapytałem, kto jest ostatni i wtedy rozpoznałem wśród siedzących na ławce milicjanta, który zabawiał się po pijaku strzelaniem mi w głowę. Oczywiście, zdenerwowałem się i głośno objaśniłem oczekującym, kim jest ten oto łachudra, który siedzi jakby nigdy nic pośród przyzwoitych ludzi, i czym zajmował się przed laty. Kilku petentów słuchało moich wspomnień z coraz większym wzburzeniem i gdyby ten milicjant nie poderwał się i nie uciekł, mógłby zostać zlinczowany. Wtedy ludzie jeszcze dobrze pamiętali czerwiec.

W roku 1992 lub 93 z okazji święta 3 Maja odbywała się jak co roku (nawet za komuny) msza święta za ojczyznę. Kościół był wypełniony po brzegi: przedstawiciele władz, posłowie ziemi radomskiej, kombatanci z opaskami AK na rękawach, ludzie radomskiej Solidarności, harcerze, wojskowi, poczty sztandarowe, flagi państwowe. Wielkie święto. I nagle wśród wielu twarzy rozpoznałem twarz milicjanta, który wraz z kolegą zwinął mnie sprzed Jubilatki, a następnie zawiózł na izbę wytrzeźwień, zerwał mi spodnie i z zapałem katował. Na rękawie miał opaskę AK. Przedarłem się przez tłum i wywlokłem kanalię z kościoła. W pierwszej chwili tak mocno był zaskoczony, że nawet się nie opierał, ale na zewnątrz rozpoznał mnie, zaczął się wyrywać, no i uciekł. Oczywiście, wiele osób uczestniczących w mszy zauważyło ten incydent i byli tacy, którzy wiedzieli, kim jest ten mężczyzna wyprowadzony pod rękę z kościoła – pełnił funkcję przewodniczącego Solidarności w szpitalu przy Tochtermana. Nie mieli pojęcia o jego przeszłości.

Na drugi dzień poszedłem do siedziby Zarządu Solidarności Ziemi Radomskiej, by im uświadomić, jakie kreatury mają u siebie. Obiecali, że po cichu go usuną. Zagroziłem, że jeśli tego nie zrobią, to ja, Stanisław Kowalski, osobiście wyrzucę go przez okno.

Był taki pułkownik Kazimierz Dalbiak, na szczęście nie miałem z nim do czynienia, ale ci co mieli, wyrobili sobie o nim jak najgorsze zdanie, odwrotnie niż władze, które go nagrodziły złotą jakąś odznaką za tłumienie rozruchów i wysoką nagrodą pieniężną. Podobno to on wyprowadził I sekretarza Prokopiaka z budynku Komitetu do samochodu.

Czerwcowi ludzie dali mu przydomek „Radomski rzeźnik", jako wyjątkowej kanalii, z wyjątkową przyjemnością katującej ludzi. Dlatego kilku chłopaków, którzy w czerwcu wpadli w jego łapy, skrzyknęło się i dali mu porządny wycisk na osiedlu Borki, gdzie wtedy mieszkał. Musiał się nieźle wystraszyć, bo wkrótce sprzedał mieszkanie i przeniósł się do domu pod Warszawą, otoczonego wysokim murem, z kamerami, z biegającymi wokół psami. Boi się. Niech się boi za tym wysokim murem, z tą wysoką emeryturą.

Zastrzegam, że jako człowiek religijny nie jestem mściwy, pozostawiam panu Bogu wymierzanie sprawiedliwości i wiem, że tych wszystkich oprawców spotka po śmierci należyta kara. Jednak w sprawie jednego milicjanta – Kędzierskiego – tego, który zeznawał przeciwko mnie w sądzie, wymyślając brązowy garnitur i butelkę coli, i przez którego wszystko co złego zaszło w moim życiu – załamanie świata osobistego i sportowego – modliłem się, by odpowiednia kara została mu wymierzona jeszcze tu, na ziemi, i zostałem wysłuchany. Na razie wiodło mu się znakomicie, dostał za fałszywe zeznania trzy tysiące nagrody i odznakę zasłużonego za walkę z wrogami socjalizmu. Jednak przyszła kryska na Matyska.

Zaczęło się od tego, że aresztowano dyrektora jakiegoś ważnego wydziału w Urzędzie Miejskim za łapówkarstwo. Obiecano mu, że jeśli złoży doniesienie na wszystkich, o których wie, że brali łapówki, czyli tzw. korzyści majątkowe, kara zostanie złagodzona. I ten dyrektor bardzo się przyłożył i sporządził listę, na której znalazło się aż siedemset osób, między innymi Kędzierski. Niektórzy mieli na sumieniu przyjęcie takich drobiazgów jak bombonierka, kwiaty. Dowiedziałem się o tej akcji i gdy trafiła się okazja, i pewna znajoma chciała załatwić przez łapówkę jakąś sprawę u Kędzierskiego, podjąłem się, że sam osobiście mu ją doręczę i tak zrobiłem (nie poznał mnie), a później zeznawałem przeciwko niemu w sądzie i dostał trzy lata więzienia.

Nie pamiętam, w którym roku, nieważne, to było lato, pijany Kędzierski wraz z jakąś kobietą wyjechał z Lasu Kapturskiego na E7 prosto pod ciężarówkę i zginął na miejscu.

W 1977 roku, wkrótce po wyjściu z więzienia, spotkałem na Obozisku Zygmunta Zabrowskiego. Ucieszyłem się na jego widok, bardzo go lubiłem, szczególnie za to, że uratował mi życie. Dziękowałem, ściskając mu wielką dłoń. Porozmawialiśmy chwilę – co u mnie, co u niego. Zygmunt wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paszport: „Zo-

bacz, co mi dali i kazali wyjechać, a ja takiego wała wyjadę!" – i pokazał – zgiął prawe ramię w łokciu i przełożył lewym. Okropnie przeklinał, że szubrawcy chcieliby się go pozbyć i żyć w spokoju, ale nie z nim takie numery. Ja opowiedziałem o swoim pobycie w więzieniu i że kręcę się za jakąś robotą. Uścisnęliśmy sobie dłonie i każdy poszedł w swoją stronę. Nie wiedziałem, co się z nim dalej działo.

Dopiero w 2000 roku, gdy powstało Stowarzyszenie „Czerwiec 76", pojawiła się pewnego dnia żona Zygmunta Zabrowskiego i wtedy dowiedziałem się o jego śmierci i jej makabrycznych okolicznościach. Otóż na początku lat osiemdziesiątych pojechał do Warszawy, żeby spotkać się z kimś z KOR-u – z Kuroniem lub Macierewiczem. Przez kilka dni nie dawał znaku życia, nie wiedziała, co się z nim dzieje, zadzwoniła do KOR-u, poinformowano ją, że był i, wychodząc, powiedział, że wraca do domu pociągiem ze stacji Ochota, zgłosiła więc jego zaginięcie na milicji, przyjęli ją lekceważąco. Po kilku dniach została zawiadomiona, że ciało męża zostało odnalezione w Warszawie i żeby się po nie zgłosiła. Na pytanie, co się stało, dostała odpowiedź, że zginął pod kołami pociągu tydzień wcześniej – tego dnia, gdy pojechał na spotkanie do KOR-u. Ciało męża złożone z czterech części leżało w kostnicy na korytarzu – miał uciętą głowę i nogi w okolicy kolan.

Teresa Opoka



Teresa Ewa Opoka – urodzona w Radomiu, poetka, dramato- i powieściopisarka. Absolwentka historii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przez wiele lat pracowała jako nauczycielka w radomskich szkołach średnich. W latach 90. współwłaścicielka Oficyny Wydawniczej STON I. Autorka dramatów: „Pątniczki" (wyróżnienie na Festiwalu Sztuk Odważnych, 2006), „Ósma dziesięć do zmierzchu" (drugie miejsce w konkursie Polskiego Radia, 2006), „Uliczna ballada" (2011). Opublikowała tom poezji *Przypadki* (1983), zbiór opowiadań *Miłość nad życie* (1988), powieść dla młodzieży *Kocie oczy* (1991), poradnik dla młodzieży *Schodami w dorosłość: 871 uwag, rad, wskazówek na udane, ciekawe życie* (1995), książeczkę dla dzieci *Pirat – ho, ho!* (1998) oraz powieści *Naprawa i wypożyczanie mężczyzn* (2002), *Wszystko o Edycie* (2009), *Wyspa kobiet* (2010), *Żona psychopaty* (2013), *Kalinowe serce* (2015).

Publikowany fragment jest częścią przygotowywanej przez autorkę reportażowej powieści pod tytułem „Na ścieżkach zdrowia".

Diament w mozaice

Piotr Turzyński

Tylko człowiek buduje refleksję nad historią, poszukuje prawdy o wydarzeniach i ludziach, szuka zrozumienia procesów dziejowych, pamięta bohaterów, może uczyć się z kart historii. Czyż nie jest to dowód, że przekracza możliwości materii nieożywionej i ożywionej? Jeden z wielkich myślicieli nad historią ludzkości Augustyn z Hippony z V w. określił dzieje jako wielką mozaikę, w której jak kamyki poukładane są pojedyncze wydarzenia i osoby, tworząc fascynujący obraz z bogatymi szczegółami i harmonią całości. Mamy jednak problem jako ludzie, nasza perspektywa jest zbyt krótka czasowo i zbyt płytka, by widzieć całą grę ukrytych motywów i paletę powiązań. Czasem po prostu pytamy o sens i bywa, że stajemy we mgle.

Istnieje mozaika osób w Kościele, narodzie i małej ojczyźnie. Bez wątpienia w tej mozaice bardzo ważni są indywidualni świadkowie, bez których obraz całości nie posiadałby swojego uroku i piękna. Są to diamenty i perły w mozaice, w których błyszczą wartości takie jak wiara, świętość, męstwo, miłość, czystość, mądrość czy poświęcenie i sprawiedliwość.

Chrześcijaństwo zbudowane jest na świadkach, a najwyższą formą świadectwa zawsze było oddanie życia. Gminy chrześcijańskie od początku swojego istnienia są targane prześladowaniami. To jest wezwaniem do świadectwa składanego Chrystusowi Ukrzyżowanemu i Zwycięskiemu. W połowie II w. chrześcijanie zdają sobie sprawę, że świadczyć (z gr. *martyrein*) znaczy w stopniu najwyższym przelać swoją krew dla Chrystusa. W ten sposób na stałe wchodzi do języka kościoła i cywilizacji chrześcijańskiej słowo greckie *martys* i łacińskie *martyr* – męczennik – i oznacza świadka, który przelał krew na świadectwo swojej wiary w Jezusa Chrystusa. Z tego źródła powstaje słowo martyrologium. Istnieje martyrologium Kościoła, ale istnieje też martyrologium narodu polskiego.

W chrześcijaństwie ofiara życia jest najpierw ofiarą przebłagalną za swoje grzechy. Powszechnie wierzono, że męczennicy przez wylanie krwi otrzymywali odpuszczenie wszystkich grzechów popełnionych po chrzcie, a tym, którzy byli nieochrzczeni, śmierć przynosiła te same skutki co chrzest. Izraelici wierzyli, że śmierć sprawiedliwych stanowi ekspiację za grzechy innych. Chrześcijanie są przekonani, że ci, którzy umierają w Chrystusie i dla Chrystusa, są ofiarą przebłagania także za grzechy innych. We wspólnocie Kościoła ważna jest myśl o wzajemnej zależności, która dotyka także więzi międzypokoleniowe. Istnieje więc diakonia, czyli służba, męczenników. Oni przyczyniają się do wzrostu Kościoła i dopełniają cierpienia Chrystusa. Stąd także bierze się prawda, że krew męczenników ma swoją rolę do spełnienia, ma swój cel, poprzez świadectwo krzyczy o prawdzie, przyczynia się do zbawienia świata i oczyszcza wspólnotę Kościoła. Wracając do augustyńskiego po-

równania, obecność świadków w mozaice historii dodaje jej blasku i piękna.

W najnowszych czasach obok blasku biskupa Piotra Gołębiowskiego w naszym Kościele radomskim i małej Ojczyźnie jaśnieje jak diament w mozaice postać ks. Romana Kotlarza. Ponieważ chrześcijanie są przekonani, że męczeństwo, to znaczy świadectwo krwi, nie jest tylko dziełem człowieka, ale darem Bożym, to trzeba powiedzieć, że w osobie ks. Romana Kotlarza otrzymaliśmy od Boga piękny dar. Kolega ze studiów seminaryjnych mówił, że jako młody alumn nie wyróżniał się niczym specjalnie, ale był „koleżeński, pogodny, bezpośredni i pracowity", potem jako ksiądz Roman „był człowiekiem prostym, pokornym, bezpośrednim w osobistych kontaktach z ludźmi". Szlachetny kamień posiada swoja niezwykłą prostotę. Już od pierwszej placówki duszpasterskiej w Szydłowcu dał się poznać jako utalentowany i bezkompromisowy kaznodzieja. Po kilku miesiącach pracy, wobec konfliktu z władzami państwowymi, które informowały biskupa sandomierskiego o tym, że ks. Roman na kazaniu krytykował poglądy światopoglądowe nauczycieli, zostaje on przeniesiony do innej parafii. Jest w księdzu Kotlarzu pewna bezkompromisowość i jasność w opowiadaniu się po stronie prawdy i Boga. W jednym z kazań w Koprzywnicy mówił: „Młodzieży! Nie wierzcie w to, co wam mówią w szkole, że Boga nie ma i nie było na ziemi. Bóg był, jest i będzie, a historia jest zmienna. Jaki by nie był rząd, który prześladuje Kościół katolicki, długo nie powojuje... Państwo, które wojuje z Bogiem, upaść musi tak jak Hitler". Takie słowa natychmiast budziły wściekłość w „jedynej przewodniej sile narodu". Po kilku latach władze państwowe będą próbowały dyktować władzom kościelnym, aby ks. Kotlarz nie pracował w środowisku miejskim czy podmiejskim, jedynie na wiejskiej parafii. Komuniści się boją. Tak jak zawsze, świadek Boga budzi sprzeciw i agresję w siłach zła. Naturalnie jaśnieje blask diamentu, więc zwyczajni ludzie widzą prawość księdza i spontanicznie organizują się w obronie lubianego kapłana. Gdy wyrzucono religię ze szkoły ks. Roman Kotlarz mówił rodzicom: „Wyrzucili mnie chyba dlatego, że uczyłem wasze dzieci odróżniać dobro od zła, że uczyłem mówić prawdę i iść zawsze prostą drogą". Prawda i prosta droga jest jasnym wyborem księdza. Takim był również ks. Kotlarz jako proboszcz Pelagowa pod Radomiem. Gdy w połowie lat 60. wybuchł konflikt w parafii Wierzbica, wspierał biskupa Piotra Gołębiowskiego, a w jednym z kazań mówił, że trzeba bronić wiary, choćby to wymagało ofiary.

Blask diamentu posiada szerokie pasmo. Bez wątpienia ks. Roman miał pasję społecznikowską i kaznodziejską, ale generalnie kochał duszpasterstwo. Lekcje religii były ciekawe, z wykorzystaniem nowoczesnych wówczas środków, a praca z dziećmi i młodzieżą owocowała choćby jasełkowymi przedstawieniami oraz dużą liczbą ministrantów.

Diament posiada szczególny szlif. Jeśli ks. Roman Kotlarz 25 czerwca 1976 r. znalazł się pośród robotników Zakładów Metalowych Waltera idących pod Komitet Wojewódzki PZPR i błogosławił ze schodów kościoła św. Trójcy protestującym, to nie był to tylko jakiś incydent czy kaprys, ale



fot. archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego

Ksiądz Roman Kotlarz

wynikało to z bezkompromisowości stawania po stronie prawdy, była to prostolinijność i duszpasterska konieczność bycia z ludźmi i wsłuchiwania się w bicie ich serc. Tego dnia przed południem przyjechał do Radomia na obiad, który zazwyczaj jadał u sióstr Michalitek przy parafii farnej. Robotnicy wciągnęli go w pochód. Napisał potem na gorąco: „przez kilka chwil, w sutannie, maszerowałem środkiem ulicy, raz po raz pozdrawiano mnie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dziękujemy księdzu!". Po takim doświadczeniu, jako naoczny świadek, nie mógł się pogodzić z oficjalną interpretacją władz komunistycznych, które wypadki czerwcowe nazywały „zwykłymi burdami, wandalizmem i bezmyślnym niszczeniem mienia, dokonywanym przez ludzi nietrzeźwych i wielokrotnie karanych". Kiedy na Radom przyszły represje, a więc między innymi „ścieżki zdrowia" i zastraszanie, ks. Kotlarz w kazaniach mówi o słusznych prawach robotników i prosi o modlitwę za braci, którzy „cierpią katorgi". Jego kazania były podsłuchiwane i nagrywane przez funkcjonariuszy SB. Ks. Roman Kotlarz jako odważny świadek prawdy i kapłan posiadający wpływ na ludzi dla komunistycznych władz stał się niewygodny.

Dla tych, którzy lubią ciemność, blask diamentu jest nie do zniesienia. Zaczęły się represje. Proboszcz z Pelagowa wielokrotnie był zastraszany i bity, o czym świadczą także zebrane potem zeznania świadków. Wiele razy „tajemniczy osobnicy" podjeżdżali pod plebanię i bili księdza w okrutny sposób. Według świadków jego plecy były czarne od siniaków. Stan zdrowia zarówno psychicznego, jak i fizycznego kapłana był przerażający. 15 sierpnia 1976 r. został przyjęty do szpitala w Krychnowicach, a trzy dni później zmarł. Pogrzeb zgromadził tłumy i był ma-

nifestacją szacunku i wdzięczności dla kapłana – świadka. Droga ze szpitala do Pelagowa była usłana kwiatami. W odczuciu parafian odszedł świadek sprawiedliwości społecznej i prawdy. Jego blask był nie do zniesienia dla tych, którzy chcieli w mozaice świata widzieć tylko jeden kolor. A jednak diament blasku nie traci, przez wierność ideałom, cierpienie fizyczne i psychiczne i przez męczeńską śmierć jaśnieje jeszcze bardziej, tak że nie można go nie zobaczyć. Kaci zapadają się w mrok, a ofiary, męczennicy i świadkowie jaśnieją. O księdzu Romanie pamiętają parafianie, pamiętają ofiary Radomskiego Czerwca `76, solidarnościowcy z Ziemi Radomskiej, pamięta Radom i Polska, pamięta Kościół. Jego postać jaśnieje blaskiem sprawiedliwości, prawdy i wierności. On nawet po latach budzi nadzieję, świadczy, że są rzeczy większe niż życie na ziemi. W mozaice dziejów niezbędny jest blask świadków. Bez nich świat pogrążyłby się w cieniu.

bp Piotr Turzyński

Na plebanii w Pelagowie

Jerzy Kutkowski

Jednym z miejsc związanych z czerwcowym protestem 1976 r. jest skromny, drewniany dom – plebania w Pelagowie, niemy świadek historii PRL, świadek zbrodniczego działania „nieznanych sprawców" wobec ks. Romana Kotlarza, miejscowego proboszcza w latach 1961–1976.

Pelagów jest dziś częścią wsi Trablice, dawna plebania stoi kilkaset metrów od nowego kościoła. Obecnie w jej odnowionym budynku mieści się Dom Pamięci ks. Romana Kotlarza. Przed laty stał obok drewniany kościółek, po którym dziś nie ma śladu, został rozebrany. Przed wojną tu i w okolicznych wsiach osiedlały się rodziny niemieckie, w 1920 r. niemieccy osadnicy zbudowali dla siebie kościół, który stanowił własność parafii ewangelicko-augsburskiej w Radomiu. Tuż przed zakończeniem wojny w 1944 r. Niemcy w pośpiechu wyjechali, a ich miejsce zajęli repatrianci, Polacy z kresów. Pastor wydzierżawił im kaplicę i szkołę na potrzeby duszpasterskie. Od 1951 kaplica została przekazana na własność katolikom, zaś w 1957 bp Jan Kanty Lorek ustanowił tu parafię kościoła katolickiego. W latach 1983–1990 staraniem ks. Jana Dobrowolskiego wybudowano w Pelagowie nowy kościół i nową plebanię. Dawna plebania opustoszała i przez lata nie była używana, została więc przekazana, w uzgodnieniu z radomską kurią diecezjalną, władzom gminy Kowala. Po gruntownym remoncie postanowiono, że



fot. archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego

będzie to Dom Pamięci ks. Romana Kotlarza – kapelana robotników, który tu mieszkał przez 15 lat. Zebrano pamiątki, fotografie i dokumenty. Udało się także zgromadzić sporo mebli księdza Kotlarza, m.in. biurko, przy którym pracował, na ścianach zawisły obrazy z domu księdza Romana. „Mamy też drzwi, na których zostały ślady łomów, używanych w czasie włamań na plebanię" – wspomina Joanna Kutkowska, wicedyrektor szkoły w Kowali, inicjatorka i współorganizatorka izby pamięci.

Muzeum ks. Romana Kotlarza zostało otwarte 17 sierpnia 2014 r. Poprzedzającą otwarcie mszę świętą celebrował ordynariusz ks. bp Henryk Tomasik. Kazanie wygłosił ks. prof. dr hab. Stanisław Kowalczyk z KUL, kolega ks. Kotlarza ze studiów, przypominając, kim był ks. Roman Kotlarz i czego nas uczy nas jego życie. Wspominał, jak szczerze i prosto uczył dzieci prawdy o Bogu. „To nie podobało się władzom komunistycznym, które starały się pozbawić go możliwości nauki religii. Był kapłanem pracowitym, przy tym, rzec można, abnegatem. Starał się być dla wszystkich dostępnym, bezpośrednim człowiekiem z jednej bryły, czytelnym, rzetelnym w przekazie prawdy ewangelicznej, mówił jasno, nie było w nim nic z efekciarstwa. Był wiernym sługą Ewangelii Jezusa Chrystusa" – mówił ks. profesor.

Po mszy licznie zgromadzeni parafianie, samorządowcy, posłowie i senatorowie, władze administracyjne, związkowcy z Solidarności oraz członkowie rodziny ks. Kotlarza przeszli do budynku dawnej plebanii. Odsłonięto tablicę pamiątkową, wysłuchano przemówień okolicznościowych, złożono wieńce. „Niech ten budynek, w którym żył, pracował, cierpiał ksiądz Kotlarz będzie pomnikiem przypominającym czasy, kiedy brat prześladował brata. Niech to miejsce będzie lekcją historii" – mówił ks. Jan Podsiadło, proboszcz parafii w Trablicach. Następnie ks. biskup

poświęcił wyremontowane pomieszczenia i zgromadzeni rozpoczęli zwiedzanie. Na planszach przygotowanych przez Instytut Pamięci Narodowej można obejrzeć historię życia księdza, zdjęcia i skany dokumentów. W gablotach wyeksponowano między innymi autentyczny granat z gazem łzawiącym, używany przez ZOMO w czasie protestów 1976, a także Krzyż Zasługi z mieczami, nadany księdzu przez prezydenta Polski na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. „Ksiądz Kotlarz był człowiekiem modlitwy i troski o drugiego człowieka. To miejsce, pamiątki, a przede wszystkim ludzie, którzy go znali, będą przemawiali w jego imieniu" – mówił ks. bp H. Tomasik.

Roman Kotlarz był kapłanem niepokornym. Przyszło mu żyć i pracować w czasach trudnych, nie mógł się pogodzić z programowym spychaniem religii na margines, na otwartą walkę z Kościołem. Urodził się w 1928 r. w Koniemłotach k. Staszowa w rodzinie rolniczej, jako najmłodszy spośród sześciorga dzieci. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1954 r. z rąk bp. Jana Kantego Lorka. Pierwszą parafią, do której został skierowany, był Szydłowiec, szybko zyskał sympatię wiernych. Wspomagał biednych, mimo tego że sam chodził w wytartej sutannie. Zjednał sobie młodzież. Był świetnym mówcą, jego emocjonalne kazania przyciągały tłumy, również z sąsiednich parafii. To zwróciło uwagę władz, które zażądały przeniesienia księdza. Ponad 700 osób podpisało się pod prośbą do biskupa, aby wikarego nie przenosić. Były to czasy, kiedy więziono prymasa Wyszyńskiego i dla uniknięcia represji biskup przeniósł ks. Romana do Żarnowa. Setki wiernych żegnało odjeżdżającego, „cały samochód był obsypany kwiatami". W Żarnowie było podobnie, wierni byli zachwyceni nowym wikarym. Tym razem zaważył brak porozumienia z proboszczem, który tak pisał do kurii sandomierskiej: „Nie powiem: pracowity, zapalony, lecz swoim uporem doprowadził do tego, że dalej tu w Żarnowie pracować nie może. Błagam go: księże, opanuj się na ambonie, nie, wpadał po prostu *sic venia verbo* w jakiś nieludzki trans, jeszcze raz krzyk... Bardzo a bardzo proszę Pasterza [...] by dał go na parafię łatwiejszą z energiczniejszym proboszczem, nie takim jak ja jestem". Tą parafią była pocysterska Koprzywnica, gdzie przybył 3 lipca 1958 r. Od początku było podobnie, miał świetny kontakt z wiernymi, których zachwycał kazaniami i ujmującym sposobem bycia. Pewnie z tego powodu był inwigilowany przez tajne służby i oskarżany przez donosicieli. W Archiwum Akt Nowych w Warszawie zachowały się donosy, w których napisano, że buntuje rodziców uczniów i młodzież, aby nie wierzyła, co jej mówią w szkole, zaś ZMP nazwał na lekcji religii Związkiem Młodych Próżniaków. Władze wojewódzkie zażądały przeniesienia niepokornego kapłana gdzieś na wieś, bo tam „przyniesie mniej szkód dla ludowego państwa". Znów zaprotestowali parafianie, znów pod petycjami zebrano setki podpisów. Powstał Społeczny Komitet Obrony Księdza Romana Kotlarza. Biskup Lorek był zaskoczony rozmiarem akcji wiernych z Koprzywnicy, odwołał się do Urzędu do Spraw Wyznań w Kielcach, stwierdzając, że zarzuty stawiane księdzu Romanowi są bezzasadne. Jednocześnie delegacje spontanicznie zorganizowanych parafian jeździły z protestami do



fot. Jerzy Kutkowski

Dom Pamięci ks. Romana Kotlarza, Pelagów

urzędów w Kielcach i w Warszawie. Życzliwy urzędnik radził im, aby dali sobie spokój. Uczestnik protestu zapamiętał jego słowa, radził: „żebyśmy się tej sprawy nie czepiali, bo sprawa jest dość poważna i tej sprawy nie wygramy, bo tę sprawę nadzoruje bezpieka i możemy się narazić". Urząd w Kielcach podtrzymał swą decyzję i ks. Kotlarz musiał tym razem przenieść się do parafii Mirzec. W niezwykle interesującym artystycznym pamiętniku – albumie ksiądz napisał: „Dnia 1 sierpnia 1959 r. o godz. 20.30 na bezwzględny rozkaz ludowej władzy wojew. i minist. opuściłem Koprzywnicę, o 23.30 znalazłem się w Mircu. O tempora!". Oprócz daru przemawiania, zdolności plastycznych ks. Roman miał zamiłowanie do nowinek technicznych, robił zdjęcia, na lekcjach wyświetlał kolorowe slajdy, uczył dzieci tańczyć przy własnym gramofonie. W Mircu był tylko rok, wyraźnie pogorszył się stan jego zdrowia, prosił o urlopy zdrowotne. Następną parafią był Kunów, skąd po czterech miesiącach wyjechał do Nowej Słupi. Do podradomskiego Pelagowa trafił w sierpniu 1961 r. Miał tu znacznie więcej obowiązków, gdyż poza zastępowaniem chorego proboszcza był także kapelanem pobliskiego szpitala psychiatrycznego w Krychnowicach. Podobnie jak w poprzednich parafiach, jego płomienne kazania budziły podziw. Wpadł na pomysł jednoczenia ludzi poprzez organizowanie parafialnych dożynek i innych integrujących imprez. Potrafił dotrzeć także do niewierzących. Wieczorami przyjeżdżali do Pelagowa prominenci partyjni z Radomia, by chrzcić swoje dzieci i przygotowywać je do pierwszej komunii. Zdarzały się też śluby. Ufali dyskrecji księdza, choć nie wszyscy. Ksiądz Kotlarz zwrócił na siebie uwagę SB, gdy zaangażował się w konflikt w Wierzbi-

cy, dokąd jeździł odprawiać msze w prywatnym domu. W 1970 r. władze wszczęły postępowanie „w sprawie szkodliwej dla państwa działalności ks. Romana Kotlarza z Pelagowa, powiat Radom". Nałożono na tę biedną parafię olbrzymie podatki, ksiądz się odwoływał, prowadził ciągłą wymianę listów i wyjaśnień. Ks. prof. St. Kowalczyk po odwiedzinach swojego kolegi kursowego był załamany: „Naocznie można było stwierdzić, że był abnegatem: nie miał służby na plebanii, a w parafii kościelnego i organisty. Sam otwierał i zamykał kościół, z parafianami go sprzątał, podczas nabożeństw inicjował śpiew. Nie miał wozu, wszystko co posiadał – oddawał innym albo przeznaczał na cele kościelne. Na spotkania kursowe przyjeżdżał autostopem". Na obiady jeździł do sióstr zakonnych do parafii św. Jana w Radomiu. Tak było również 25 czerwca 1976 r. W liście do prymasa Wyszyńskiego zapisał dokładną godzinę dotarcia do zbuntowanego Radomia, była 9.35. Szedł w stronę fary, gdy napotkał tłumy demonstrujących robotników z radomskich zakładów. Zmierzali w stronę Komitetu Wojewódzkiego PZPR, aby zaprotestować przeciwko drakońskim podwyżkom cen żywności, które zapowiedział poprzedniego dnia premier Jaroszewicz. Ksiądz przyłączył się do demonstrantów (widziano go w pobliżu Zakładów Metalowych i na placu Konstytucji 3 Maja) i doszedł z nimi do placu Kazimierza. Tam wszedł na schody kościoła św. Trójcy i błogosławił robotników. Przez następne dni do Pelagowa dochodziły wieści o wyjątkowo brutalnych represjach wobec zatrzymanych. Szczególnie dotkliwie bito ich na tzw. ścieżkach zdrowia. Ks. Kotlarz bardzo przeżywał wyrządzaną krzywdę i na kazaniach (nagrywanych przez funkcjonariuszy SB) krytykował terror władz, upominał się o krzywdzonych, wyrzucanych z pracy robotników. Sekretarz PZPR Edward Gierek zachęcał służby do stanowczego działania: „Trzeba załodze tych czterdziestu paru zakładów, które strajkowały, powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem – tym lepiej dla sprawy. To musi być atmosfera pokazywania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są Polakami, że w ogóle na świecie chodzą". Księdza Romana zaczęto wzywać na przesłuchania, zaś wieczorami odwiedzali go „koledzy" i bili, nawet przy świadkach. Były ministrant Tomasz Świtka pamięta do dziś słowa przerażonego księdza: „Popatrz, lecą bomby, bomby spadają, patrz w moje plecy trafiają" – mówił, pokazując mu plecy, które były sine, czarne jak jego sutanna. Pojawiły się stany lękowe, zwidy i permanentny strach. Władze chciały zdyskredytować księdza, śląc pisma do sandomierskiej kurii, zaś kuria próbowała go bronić, bagatelizując sprawę, tłumacząc, że ksiądz znalazł się w Radomiu przypadkiem, czynnie nie brał udziału w wydarzeniach. „Nieznani sprawcy" odwiedzili go ponownie. 15 sierpnia 1976 r. podczas odprawiania mszy krzyknął „Matko ratuj!", upadł i stracił przytomność. Został przewieziony do pobliskiego szpitala w Krychnowicach, gdzie według opinii ordynatora bardzo cierpiał, był w stanie silnego pobudzenia nerwowego, drżała mu cała twarz i ręce, chwiał się podczas chodzenia, nie można było nawiązać z nim kontaktu. 17 sierpnia w nocy biegał przerażony po sali, krzyczał, że ktoś go prześladuje.



fot. Jerzy Kutkowski

Uroczystość otwarcia muzeum ks. Romana Kotlarza, Pelagów 17.08.2014, przemawia ks. bp Henryk Tomasik

Nad ranem jego stan się pogorszył, stracił przytomność i około godz. 8 ksiądz zmarł. 20 sierpnia trumnę ze zwłokami przeniesiono drogą usłaną kwiatami do kaplicy w Pelagowie. Tam na mszy św. sprawowanej przez bp. Walentego Wójcika parafianie pożegnali swego duszpasterza, później ciało księdza przewieziono do rodzinnych Koniemłotów, gdzie został pochowany. Władze nie widziały potrzeby prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci, chociaż powszechnie uważano, że przyczynili się do niej „nieznani sprawcy". Dopiero po powstaniu KOR, pod naciskiem opinii publicznej przeprowadzono kuriozalne śledztwo „przeciwko Jackowi Kuroniowi w sprawie śmierci ks. Romana Kotlarza". Większą wagę przywiązywano do badania okoliczności rozpowszechniania fałszywych informacji niż do przyczyn śmierci księdza, który w opinii prokuratury zmarł śmiercią naturalną. Po powstaniu „Solidarności" sprawa księdza Kotlarza została wznowiona. Tym razem, mimo zeznań kilkunastu świadków, nie zdołano dotrzeć do funkcjonariuszy SB, którzy mogli mieć związek ze śmiercią księdza. Po wprowadzeniu stanu wojennego śledztwo zostało umorzone. Do spra-

wy wrócono po przełomie 1989 r. Pierwszą trudnością była informacja o zniszczeniu materiałów śledczych z 1982 r., które jednak ocalały i nagle się odnalazły na biurku prokuratora wojewódzkiego. W czasie przesłuchań odkryto, że ks. Kotlarz był nawiedzany przez brutalnych „nieznanych sprawców" już w roku 1966 i 1975. Udało się ustalić, że w 1976 ksiądz był ciężko pobity co najmniej dwa razy i że sprawcami byli funkcjonariusze SB z Wydziału IV WUSW w Radomiu. Niestety, nie udało się ustalić, którzy to byli esbecy, zaś śledztwo umorzono z powodu „braku dostatecznych dowodów". Bp Edward Materski podczas otwarcia wystawy Arkadiusza Kutkowskiego poświęconej niezłomnemu księdzu powiedział: „Pragnę zdecydowanie oświadczyć, że ksiądz Roman Kotlarz jest męczennikiem, którego słusznie Jan Paweł II wspominał na radomskim lotnisku. Po wizycie Ojca Świętego w naszym mieście, za te Jego słowa, na moje ręce spłynęły liczne protesty z określonych środowisk, że „przecież nie został zamordowany". Trzeba zdecydowanie powiedzieć, że ks. Roman Kotlarz został zamordowany. Nie ma żadnych wątpliwości, że umarł w wyniku pobicia...". Natomiast biskup sandomierski Andrzej Dzięga powołał w 2004 r. Ośrodek Dokumentacji Życia i Działalności Księdza Romana Kotlarza w Koniemłotach, który gromadzi materiały i dokumenty potrzebne do ewentualnej beatyfikacji kapłana męczennika.

Najwięcej informacji zdołali zebrać czterej uczniowie z LO im. Kochanowskiego w Radomiu, którzy pod opieką nauczycielki historii dr Elżbiety Orzechowskiej napisali pracę na temat księdza Romana Kotlarza. Opracowanie zostało nagrodzone w 1998 r. przez Ośrodek KARTA. Nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, ale udało im się dotrzeć do bezpośrednich sprawców pobicia. Jeden z esbeków chwalił się przed licealistami: „Widzisz tę rączkę, ta ręka jako ostatnia dała mu w ryja". Jeden z uczniów – obecnie dr historii, diakon (a za miesiąc ksiądz) Szczepan Kowalik – dogłębnie zajął się w kolejnych latach działalnością księdza Kotlarza. Jest przekonany, że jego własne powołanie kapłańskie zrodziło się podczas badania życia i działalności proboszcza z Pelagowa. Śmierć księdza wzbudziła zainteresowanie dziennikarzy i filmowców. Pojawiły się reportaże prasowe, audycja radiowa Andrzeja Sałaty „Śmierć puka dwa razy" oraz film dokumentalny „... i cicho ciało spocznie w grobie". Obecnie powstaje również film fabularny „Klecha", którego producentem i reżyserem jest Jacek Gwizdała. Autorem scenariusza jest Wojciech Pestka, literat, regionalista i autor powieści o wydarzeniach Radomskiego Czerwca pt. *Powiedzcie swoim*. Pierwsze zdjęcia do filmu będą kręcone w czasie obchodów 40. rocznicy robotniczego protestu w Radomiu, zaś premierę zaplanowano na 2018 r.

Dom Pamięci ks. Romana Kotlarza w Trablicach można zwiedzać w dni powszednie w godz. 11–15.00, a w dni świąteczne po uzgodnieniu terminu z miejscową parafią. W trakcie pisania artykułu korzystałem z informacji zamieszczonych w książce Szczepana Kowalika, Arkadiusza Kutkowskiego i Jerzego Kutkowskiego *... byłem z tymi ludźmi* wydanej w 2007 r. przez Katedrę Radomską.

Jerzy Kutkowski
5.05.2016 r.

KRONIKA
luty – maj 2016

Iłża

22.04.2016. W Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej zorganizowano promocję zbioru poezji Jana Czarneckiego *Tyle tu spokoju*. Był to już z 17. tomik tego poety, a 11. wydany przez iłżecką bibliotekę.

30.04–1.05.2016. Na Zamku Biskupów Krakowskich odbył się XIX Turniej Rycerski. Impreza zgromadziła grupy rekonstrukcyjne z całej Polski, przybyli też sokolnicy z Czech.

Jedlińsk

9.02.2016. Na jedlińskim rynku odbyło się doroczne, jedyne w Europie, widowisko zatytułowane „Ścięcie śmierci". Odbywa się w Jedlińsku każdego roku w ostatni wtorek przez Środą Popielcową. W tym roku wśród widzów znaleźli się goście przybyli z całego świata (nawet z Egiptu).

Kozienice

11.03.2016. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tomasza Mikockiego otwarta została wystawa „W bednarskim fachu". Zaprezentowano eksponaty ze zbiorów własnych i Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu.

1.04.2016. Franciszek Subocz – absolwent Wyższego Studium Fotografii w Warszawie, członek Fotoklubu RP Region Radomski pokazał swoje fotografie w Muzeum Regionalnym. Wystawa została zatytułowana „Inaczej widziane...".

15–17.04.2016. Nowe wydarzenie muzyczne w Centrum Kulturalno-Artystycznym nosi tytuł „Folkobranie". Festiwal popularyzuje folk. W ramach imprezy zorganizowano warsztaty dla młodych miłośników tego gatunku oraz koncerty uznanych wykonawców muzyki folkowej.

14.05.2016. Muzeum Regionalne zaprosiło na wernisaż wystawy „Dojrzałe marzenia" – malarstwo Leokadii Styś oraz na imprezy zorganizowane w ramach Nocy Muzeów 2016.

Orońsko

11.03.2016. W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto trzy nowe wystawy. W Muzeum Rzeźby Współczesnej pokazano prace artystów Wydziału Malarstwa i Nowych Mediów Akademii Sztuki w Szczecinie, w galerii Oranżeria Alicja Łukasiak zaprezentowała „Strukturę populacji", a w galerii Kaplica otwarto wystawę Daniela Rumiancewa „Domowy wyrób świec".

19.03.2016. Centrum Rzeźby Polskiej zaprosiło na tradycyjny już „Wieczór imieninowy Józefa Brandta". Wręczono statuetki Atamana Mecenasowi Roku oraz osobom i instytucjom wspierającym działalność Centrum, zaprezentowano dary Magdaleny Fangor do kolekcji CRP (obrazy i rzeźby Wojciecha Fangora). Wieczór uświetnił koncert zespołu akordeonistów Motion Trio.

Radom

1.02.2016. Miejska Biblioteka Publiczna w Radomiu zorganizowała spotkanie z dziennikarzem i pisarzem Filipem Springerem.

5.02.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" otwarto wy-

stawę prac Zbigniewa Sikory „Układy miejskie", zorganizowaną w ramach cyklu „Promocja młodych".

6.02.2016. Pod Krzyżem Powstańców Styczniowych przy ul. Warszawskiej odbyły się uroczystości upamiętniające setną rocznicę jego ustawienia oraz pamięć powstańców poległych w latach 1863–1864.

6.02.2016. Dom Kultury „Idalin" zaprosił na koncert jazzowy w wykonaniu grupy Jan Olszewski Quartet.

6.02.2016. W Galerii 58 otwarto wystawę „Stysiak/Piasta – Egzystencja". Pokazano na niej projekt Marty Stysiak „Autoportret" i Piotra Piasty „The Realm of Forgotten Existence" – najnowsze w ich artystycznym dorobku.

11.02.2016. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia" przy ul. Traugutta otwarta została retrospektywna wystawa prac Magdaleny Leśniak. Wystawę zorganizowano wspólnie z BWA w Kielcach.

12.02.2016. W „Łaźni" przy ul. Żeromskiego odbył się wieczór autorski Wojciecha Matyi, radomskiego barda i poety, multiinstrumentalisty występującego na różnych, nie tylko radomskich scenach i w różnych zespołach muzycznych. W programie znalazły się utwory z płyty „Krajobrazy" oraz wiersze. Spotkanie zatytułowano „Krajobrazy uczuć – Walentynki 2016".

17.02.2016. Wernisaż wystawy fotografii Sebastiana Klochowicza „Nadrealne Księżyce" zainaugurował w mieście działalność kolejnej galerii fotografii. Galeria 3xF mieści się w Avalon Studio przy ul. Żeromskiego 49.

18.02.2016. Premiera filmu „Ks. Józef Rokoszny (1870–1931)" autorstwa Pawła Putona, promocja książki Bernarda Pająka *Ksiądz Józef Rokoszny w świetle listów i wspomnień* oraz spotkanie z autorami odbyło się w OKiS „Resursa Obywatelska".

19.02.2016. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia" przy ul. Żeromskiego otwarto wystawę prac uczestników XXIII Ogólnopolskiego pleneru malarskiego Ożarów 2015. Część ekspozycji była prezentowana w restauracji Bistro przy ul. Niedziałkowskiego.

19.02.2016. Jan Andrzej Jasiński, znany radomski artysta plastyk, pedagog w Zespole Szkół Plastycznych obchodził jubileusz 35-lecia pracy twórczej. Z tej okazji w OKiS „Resursa Obywatelska otwarta została wystawa jego prac zatytułowana „Siódma pięciolatka, czyli A-B-C...".

19.02.2016. Leliwa Jazz Band, znakomita grupa jazzowa, wystąpił w MOK „Amfiteatr". Muzykom towarzyszyła radomska solistka Iwona Skwarek.

20.02.2016. Światowej sławy włoski skrzypek Domenico Nordio i Radomska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Macieja Żółtowskiego zagrali „Cztery pory roku" Antonio Vivaldiego i „Cztery pory roku w Buenos Aires" Astora Piazzoli. Koncert był zatytułowany „Osiem pór roku".

25.02.2016. W Galerii Sztuki Domu Kultury „Idalin" otwarta została wystawa malarstwa radomianina Dariusza Stelmacha, którą autor zatytułował wymyślonym przez siebie słowem „Dagetyp".

28.02.2016. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarto, największą z dotychczasowych, wystawę prezentującą dzieła z kolekcji sztuki II połowy XX w. zgromadzone w radomskim Muzeum Sztuki Współczesnej. Wystawa została zorganizowana w 25. rocznicę powstania muzeum z okazji wydania albumu autorstwa Mieczysława Szewczuka „Żyć sztuką. Kolekcja sztuki współczesnej Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu". Wystawa, na której pokazano 450 z 4,5 tys. zgromadzonych dzieł, nosiła tytuł „Żyć sztuką. Opowieści o artystach i sztuce polskiej w latach 1945–1995". Jak zaznaczył dyrektor placówki, była to ostatnia prezentacja obiektów z kolekcji przed jej przekazaniem do Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia".

28.02.2016. Anna Maria Jopek, jedna z najbardziej znanych i cenionych polskich wokalistek, wraz ze swoim zespołem koncertowała w sali ROK.

1.03.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" swoje prace wykonane ze szkła oraz rysunki na papierze i bibule japońskiej zaprezentowała czeska artystka Věra Vejsová. Wystawa była zatytułowana „Japet – struktura otwarta, powstawanie i ekspresja ruchu".

3–6.03.2016. Miasto świętowało Kaziki – dni patrona. Rozpoczęła je promocja książki Szczepana Kowalika *Fabrica ecclesiae. Żywot i sprawy radomskiego proboszcza ks. Piotra Górskiego.* W programie obchodów była także wystawa grafiki litewskiej artystki Rity Stašauskaitė, wręczenie Nagrody św. Kazimierza, którą otrzymał Marcin Kępa, koncert finałowy Muzyczne Kaziki i wręczenie Nagrody Muzycznych Kazików oraz III Wielki Test Wiedzy o Radomiu i Bieg Kazików. Organizatorem imprezy był OKiS „Resursa Obywatelska", patronat sprawowali: ordynariusz diecezji radomskiej biskup Henryk Tomasik, prezydent miasta Radomia Radosław Witkowski, przewodniczący rady miejskiej Dariusz Wójcik.

5.03.206. W Zespole Szkół Muzycznych koncertował Chór Akademicki Uniwersytetu Warszawskiego po dyrekcją Iriny Bogdanowicz. Artyści wykonali „Całonocne czuwanie" opus 37. Siergieja Rachmaninowa. Partie solowe zaśpiewali Olga Sadowska – alt i Mateusz Markuszewski – tenor.

11.03.2016. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia", w obydwu siedzibach instytucji (przy ul. Żeromskiego i Traugutta), otwarto wystawę zatytułowaną „Cztery wystawy trzech doktorantów". Swoje prace prezentowali artyści kieleccy: Paulina Domagała, Lucyna Gozdek, Artur Bartkiewicz. Wszyscy artyści są doktorantami Uniwersytetu im. Jana Kochanowskiego w Kielcach.

12.03.2016. Gośćmi Radomskiej Orkiestry Kameralnej byli: Janusz Wawrowski – skrzypce, Bartłomiej Kominek – fortepian oraz turecki dyrygent Ertug Korkmaz. Koncert nosił tytuł „Mendelssohn".

18.03.2016. Premiera „Władzy" Nicka Deara w Teatrze Powszechnym zdobyła wielkie uznanie publiczności. Spektakl reżyserował Andrzej Bubień. Świetne kreacje stworzyli m.in. Jarosław Rabenda, Łukasz Stawowczyk, Izabela Brejtkop.

18.03.2016. W Galerii 58 otwarto wystawę prac poznanianki Oli Szmidy. Artystka tworzy rysunki, komiksy, ilustracje oraz filmy animowane.

19.03.2016. W Zespole Szkół Muzycznych odbyła się gala operowa. Wystąpili: Bożena Bujnicka – sopran, Wanda Franek – alt, Paweł Kołodziej – bas, Natalia Rubiś-Krzeszowiak – sopran, Krystian Krzeszowiak – tenor. Śpiewakom towarzyszyła Radomska Orkiestra Kameralna pod dyr. Macieja Żółtowskiego. Koncert

odbył się w ramach Wielkanocnego Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena w Warszawie.

1.04.2016. W Galerii „Łaźnia" otwarto wystawę plakatu i ilustracji Rafała Olbińskiego „Opera i nie tylko". Współorganizatorami byli American Corner Radom i Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce.

1.04.2016. Doktor Katarzyna Bojarska z Instytutu Badań Literackich PAN była gościem cyklu „Kochanowski dla Radomia" organizowanego w Resursie Obywatelskiej z inicjatywy VI LO. Temat wykładu dr Bojarskiej dotyczył wpływu Holocaustu na literaturę i sztukę.

2.04.2016. Koncert znanej grupy Raz, Dwa, Trzy oraz licytację przedmiotów ofiarowanych przez znanych radomian zorganizowali Rycerze Kolumba. Dochód z imprezy był przeznaczony na organizacje Światowych Dni Młodzieży.

4.04.2016. Rozpoczęła się 39. Radomska Wiosna Literacka. Gośćmi imprezy byli: Włodzimierz Kowalewski, Jacek Dehnel, Sylwia Chutnik. Odbyła się też promocja wydawnictw regionalnych. Swoją powieść *Czarownica* prezentowała debiutantka Anna Litwinek, o pracy zbiorowej *Gombrowicz z przodu i z tyłu* można było rozmawiać z redaktorami wydawnictwa: Krzysztofem Ćwiklińskim, Anną Spólną i Dominiką Świtkowską. Wiośnie towarzyszyła wystawa ekslibrisów nagrodzonych i wyróżnionych w siedmiu edycjach Ogólnopolskiego Konkursu „Ekslibris" organizowanego przez Zespół Szkół Plastycznych w Radomiu oraz recital Kuby Michalskiego „Ach poezja!". RWL zakończyła się 8 kwietnia.

5.04.2016. W OKiS „Resursa Obywatelska" rozpoczęły się uroczystości związane z 1050. rocznicą chrztu Polski. Wykład zatytułowany „1050 lat chrześcijaństwa w Polsce. Poganie i chrześcijanie" wygłosił prof. Andrzej Buko. Koncert muzyki dawnej dał zespół Schola Sancti Ioannis.

8.04.2016. Wystawę fotografii Patryka Patynowskiego „Niepamięć" otwarto w OKiS „Resursa Obywatelska". Wystawa jest owocem podróży autora na Ukrainę do miejsc dotkniętych rzezią wołyńską w 1943 r. Otwarciu wystawy towarzyszyła prelekcja dr. Leona Popka z lubelskiego IPN-u.

9.04.2016. Stowarzyszenie Grupa Literacka „Łuczywo" po raz 29. zorganizowało Radomskie Spotkania z Poezją. W ramach imprezy odbyły się warsztaty poetyckie, które prowadził krytyk literacki Jan Zdzisław Brudnicki, sesja popularnonaukowa o współczesnej poezji oraz podsumowano ogólnopolski konkurs poetycki im. Stanisława Grochowiaka. Laureatami zostali: Mariola Kruszewska z Mińska Mazowieckiego, Ireneusz Jaskólnik z Warszawy i Andrzej Ziobrowski z Nowej Huty. Wszystkim serdecznie gratulujemy.

13.04.2016. Mieszkańcy miasta oraz przedstawiciele władz samorządowych i parlamentarzyści ziemi radomskiej uczcili Dzień Pamięci o Ofiarach Zbrodni Katyńskiej. W kościele garnizonowym została odprawiona msza, przed pomnikiem na cmentarzu przy ul. Limanowskiego złożono kwiaty i zapalono znicze. Organizatorem uroczystości była Rodzina Katyńska i Rodzina Policyjna 1939.

14.04.2016. Radomskie Towarzystwo Naukowe i OKiS „Resursa Obywatelska" zaprosili na promocję książki *Zabytkowe parki Radomia* i spotkanie z autorami publikacji: Renatą Metzger, Marcinem Kępą, Mieczysławem Szewczukiem, Pawłem Putonem, Jackiem Słupkiem i Sebastianem Piątkowskim.

16.04.2016. Radomska Orkiestra Kameralna pod dyrekcja Macieja Żółtowskiego zagrała koncert zatytułowany „Muzyka srebrnego ekranu". Gwiazdą koncertu był pianista Maksym Rzemiński.

20.04.2016. W Resursie Obywatelskiej rozpoczęły się, trwające pięć dni, ósme Spotkania z Kulturą Żydowską „Ślad". Zainaugurował je wykład Łukasza Babuli „Przywracanie do życia umarłych". Czynna była wystawa „Wszystkie drogi... historie Żydów ocalonych z Zagłady", wypożyczona z Żydowskiego Muzeum „Galicja" w Krakowie, odbyło się spotkanie autorskie z Piotrem Pazińskim, można było posłuchać koncertów, obejrzeć spektakle teatralne. Ideą cyklu jest przypomnienie historii Radomia, którą przed wojną tworzyła także społeczność żydowska.

22.04.2016. Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia" zaprosił na pierwszą część wystawy „Dialog w sztuce" z cyklu Pracownie – Konfrontacje. Swoje prace zaprezentowali artyści z Ostrawy: Zbyněk Janáček, Andrea Uváčiková, Viera Bednárová.

22.04.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" otwarto wystawę „Orońsko. 17 km w linii prostej". Kuratorem była Eulalia Domanowska.

22.04.2016. Młodzieżowy Dom Kultury zorganizował doroczny Ogólnopolski Festiwal Piosenki Majki Jeżowskiej „Rytm i Melodia". Piosenkarka przewodniczyła jury oraz sama wystąpiła w koncercie galowym. Impreza odbyła się w naszym mieście po raz 11.

23.04.2016. W klubie Strefa G2 koncertował zespół IRA. Koncert w rodzinnym mieście muzycy zagrali w ramach zbliżającego się 30-lecia działalności grupy.

23.04.2016. Dom Kultury „Idalin" zorganizował doroczny zlot modularzy kolejkowych. W ramach imprezy odbył się pokaz makiety modułowej H0 radomskich modelarzy, pokaz technik modelarskich, giełda modelarska, przygotowano kącik dla dzieci.

30.04.2016. W Resursie Obywatelskiej odbył się przedpremierowy pokaz filmu Przemysława Bednarczyka „Zapomniany Legion", poświęconego dziejom 1. Legionu Polskiego, zwanego od miejsca powstania Legionem Puławskim. Żołnierze Legionu walczyli przeciwko Niemcom pod Pakosławiem podczas I wojny światowej w roku 1915.

6.05.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" otwarto dwie wystawy: „Deski Obrazy Słowa" – wystawa malarstwa współczesnego na desce z Muzeum – Zamku Górków w Szamotułach i „Forma i nieprzedstawialne" – wystawa poplenerowa XXXIII pleneru dla artystów posługujących się językiem geometrii.

6.05.2016. W MOK „Amfiteatr" odbył się koncert gitarzysty Scotta Hendersona, któremu towarzyszyli Travis Carlton i Krzysztof Zawadzki.

6–8.05.2016. Do Radomia po raz 23. przyjechali miłośnicy poezji śpiewanej, piosenki aktorskiej i autorskiej, aby walczyć o Złoty, Srebrny i Brązowy Prysznic podczas Turnieju Śpiewających Poezję. Podczas gali, oprócz laureatów nagród: zespołu Nic Wielkiego z Warszawy", Marty Kostur, Adama Szabata i wyróżnionych, wystąpiła Renata Przemyk.

13.05.2016. Zespół Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta zorganizował wystawę IV Pracowni Rysunku na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wystawę zatytułowano „Moja przestrzeń".

13.05.2016. W galerii „Łaźnia" przy ul. Traugutta otwarto drugą część wystawy „Dialog w sztuce" z cyklu Pracownie – Konfrontacje. Pokazano prace Marka Sibinskýego, Ivy Krupicocej, Olgi Moravcovej.

14.05.2016. Radomska Orkiestra Kameralna wystąpiła pod batutą Nurhana Armana. Podczas koncertu zatytułowanego „Wieczór w Neapolu" pieśni neapolitańskie wykonał tenor Rafał Żurakowski. W programie znalazły się także kompozycje Sergiusza Prokofiewa i Giuseppe Verdiego.

16.05.2016. Muzeum Wsi Radomskiej obchodziło jubileusz 40-lecia istnienia. Z tej okazji w radomskiej placówce zorganizowano obchody Dnia Muzealnika na Mazowszu oraz konferencję naukową „Literackie muzea Mazowsza".

20.05.2016. „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zorganizowała wystawę fotografii Leszka Jastrzębiowskiego „Dyskretny urok energetyki" połączoną z jubileuszem 45-lecia twórczości fotograficznej.

21–22.05.2016. V Międzynarodowy Festiwal Artystów Ulicznych i Precyzji zgromadził na Rynku liczne grono zainteresowanych.

Wsola

6.03.2016. Muzeum Witolda Gombrowicza rozpoczęło nowy cykl spotkań zatytułowany „Pisarz i krytyk". Pierwszym gościem był Łukasz Orbitowski, laureat ubiegłorocznego Paszportu Polityki za powieść *Inna dusza*, z którym rozmawiała Justyna Sobolewska.

20.05.2016. Gościem kolejnego spotkania w cyklu „Pisarz i krytyk" była Olga Tokarczuk, z która rozmawiał Jerzy Sosnowski.

Zakrzew

12.03.2016. W Gminnej Bibliotece Publicznej odbył się koncert kameralny „Szostakowicz – groteska i tragizm". Wystąpili: Joanna Łukowska – sopran, Jacek Bondaruk – fortepian, Karolina Ślemp – skrzypce, Mateusz Piechnat – fortepian, Marcin Bańczyk – wiolonczela, Piotr Wołowicz – fortepian.

22.04.2016. W sali widowiskowej Gminnej Biblioteki Publicznej odbyło się uroczyste zakończenie wystawy poświęconej św. Janowi Pawłowi II.

ZACZĘŁO SIĘ W RADOMIU
CZERWIEC '76

40. ROCZNICA RADOMSKIEGO PROTESTU ROBOTNICZEGO CZERWIEC '76

24 CZERWCA 2016

18.00 – NADANIE ALEI NAZWY SENATORA ZBIGNIEWA ROMASZEWSKIEGO oraz ODSŁONIĘCIE PAMIĄTKOWEJ TABLICY
(we współpracy ze Stowarzyszeniem „Radomski Czerwiec '76")
Miejsce: Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu

21.30 – OTWARCIE ŚCIEŻKI DYDAKTYCZNEJ „ŚLADAMI RADOMSKIEGO CZERWCA '76"
(we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej)
Miejsce: skrzyżowanie ulic 25 Czerwca i Żeromskiego

22.00 – UROCZYSTE ODSŁONIĘCIE MURALU
(w programie m.in. pokaz multimedialny na ścianie wieżowca)
Miejsce: skrzyżowanie ulic 25 Czerwca i Żeromskiego

25 CZERWCA 2016

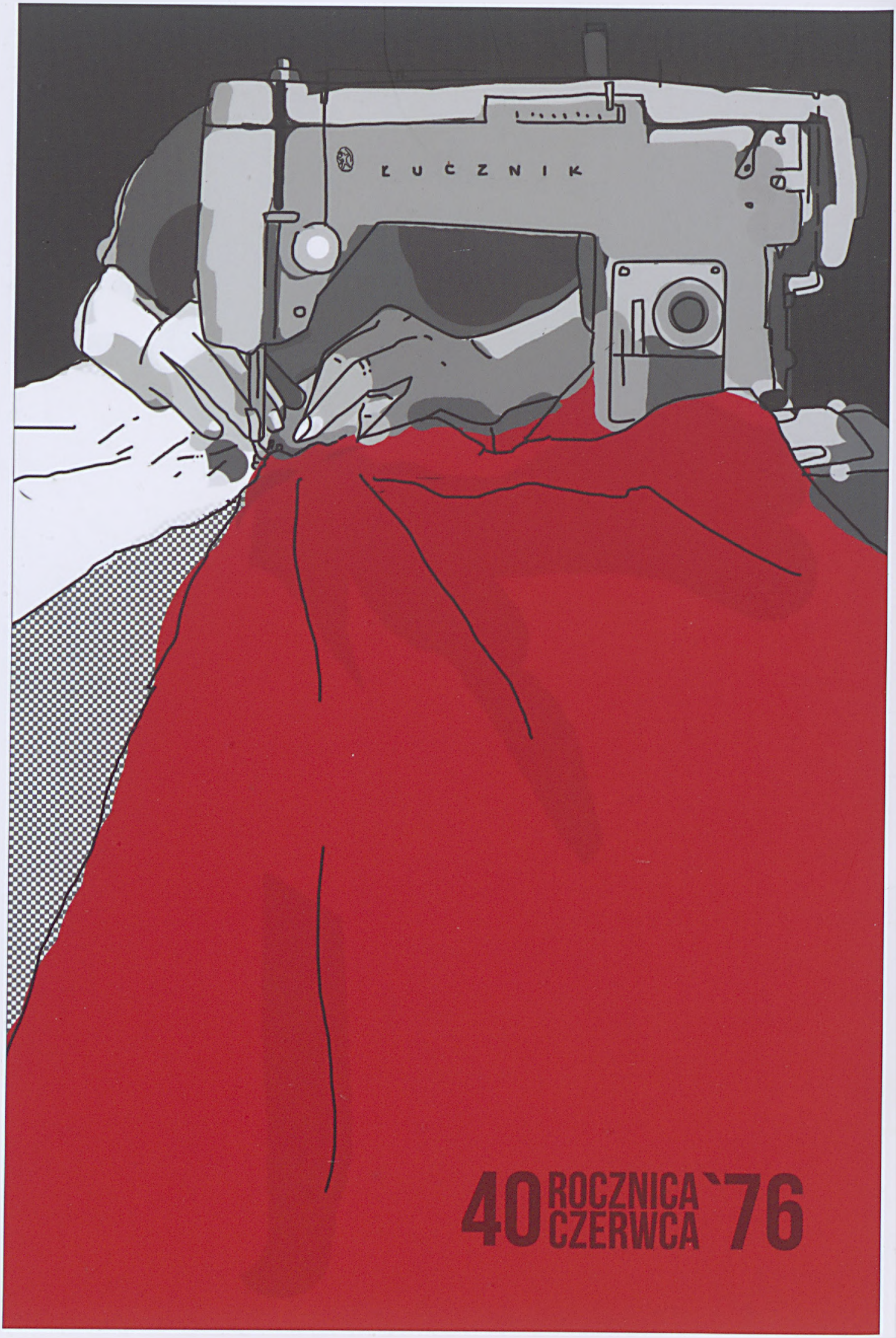
13.00 – UROCZYSTA MSZA ŚW. – PAMIĘCI BOHATERÓW CZERWCA I KS. ROMANA KOTLARZA
Miejsce: skrzyżowanie ulic 25 Czerwca i Żeromskiego

19.00 – KONCERT JANA PIETRZAKA
Miejsce: Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga

19.00 – „MUZYCZNA DROGA DO WOLNOŚCI" cz. I
Wystąpią: MAŁGORZATA OSTROWSKA, RÓŻE EUROPY, TOMEK LIPIŃSKI z zespołem
(wręczenie Radomskiej Nagrody Kulturalnej)
Miejsce: plac przed budynkiem Urzędu Miejskiego i ulica Żeromskiego

26 CZERWCA 2016

20.00 – „MUZYCZNA DROGA DO WOLNOŚCI" cz. II
Koncert: OBSTAWA PREZYDENTA, RAY WILSON GENESIS CLASSIC
Miejsce: plac przed budynkiem Urzędu Miejskiego i ulica Żeromskiego



Mariusz Dański, rysunek komputerowy, 2016